



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XVIII SOBOTA, 11 października 1958 r. NR. 41 (849)

CISZA NAD QUEMOY

W NAJBARDZIEJ zapalnym od sześciu tygodni punkcie kuli ziemskiej zapanowała nagła cisza. Działania komunistów chińskich przerwały ogień nad Quemoy i przez sześć dni transporty z zaopatrzeniem dla ludności i garnizonu będą się mogły wyładowywać spokojnie na zoranych pociągami plażach chińskich wysp przybrzeżnych. Rząd pekiński postawił wszakże warunek, że okręty amerykańskie nie będą konwojowały transportów.

Warunek ten nie został wzięty pod uwagę. Przeciwnie, rząd Ciang Kai-szeka dał wyraźnie do zrozumienia, że potrzebuje w dalszym ciągu konwojów amerykańskiej 7 floty i że o nie prosi. Transporty płyną dalej pod konwojem amerykańskim, potencjał wojenny amerykański na Formozie wzrasta systematycznie i według planów, których wykonanie znacznie ostatnio przyspieszono. Oficjalną odpowiedź na jednostronne kilkudniowe „zawieszenie broni“ przez komunistów było głuche milczenie. Podobne do milczenia, którym Stany Zjedn. przyjmowały monotonne w swym powtarzaniu się protesty Chin komunistycznych w związku z nieprzezwyciężaniem przez amerykańskie jednostki morskie zakazu zbliżania się mniej niż o dwaście mil do brzegów kontynentu chińskiego. Owe dwaście mil stawały w mniemaniu Pekinu nową granicę ich wód terytorialnych.

Szczegół to na pozór bez znaczenia i łatwo uchodził uwagi tych zwłaszcza kół ugodowych w wolnym świecie, które pragnęłyby jak najszybciej odisać na straty i Quemoy, i Formozę i prestiż Stanów Zjednoczonych w Azji. Nie mówiąc już o bezpieczeństwie Stanów Zjednoczonych, które strzegą go u brzegów chińskich. Wszystko w imię hasła: nie drażnić mocniejszego. Względnie — ta forma wydaje się trafniejsza — nie drażnić pewniejszego siebie.

Te same kółka także przyjęły z entuzjazmem wiadomość o chińskim zawieszeniu broni, chociaż ma ono trwać wszystkiego tydzień. Z entuzjazmem tym przemieszały się misternie głosy nietajonego zadowolenia, że pod względem propagandowym kierownik polityki amerykańskiej doznał porażki. Wiedziały to prym prasa brytyjska z „Timesem“ na czele. Podkreśla ona te fragmenty oświadczenia Dullesa z 30 września, które dały najwięcej powodów do obawy rządowi nacjonalistycznemu na Formozie. Ten sam motyw przebiega w odezwie ogłoszonej przez pekińskiego ministra obrony Peng Ten-huai: „nadejście na pewno dzień, kiedy Amerykanie was opuścą. Czy nie wierzyć? Historia będzie tego świadkiem. Wątek, prowadzący do prawdy możecie znaleźć w oświadczeniu Dullesa z dnia 30 września...“.

Sukces lub porażka propagandowa jest rzeczą ważną zawsze. W chwilach gdy zaczyna się zacieśniać granica między stanem wojny i stanem pokoju pociągnięcia propagandowe stają się jeszcze ważniejsze. Nie zastępują jednak zwycięstwa militarnego i zwycięstwa politycznego. Mogą natomiast umożliwić wycofanie się napastnika z zbyt daleko wysuniętej pozycji, poza którą postąpić się nie waży lub nie chce. Sukces propagandowy jest wówczas podobny do zastony dymnej pod której płaszczem można przeprowadzić niedostrzegalną zmianę stanowiska.

Zanalizujmy fakty. 30 września Dulles wygłosił oświadczenie o polityce amerykańskiej w stosunku do Quemoy, Matsu i mówiąc szerzej do rządu nacjonalistycznego na Formozie. Skrytykował przy tej okazji Ciang Kai-szeka, twierdząc, że było krokiem nierozsądnym obsadzać wyspy przybrzeżne tak licznymi garnizonami. Powiedział dalej, że z amerykańskiego punktu widzenia byłoby lepiej, żeby ich tam nie było. Odrzucił wszakże z góry możliwość ich wycofania pod og-

niem. Innymi słowy, pod presją zbrojną, Dulles stwierdził dalej, że obecność tych wojsk na Quemoy nie stwarza — tak jak nie stwarzała jej żadne zobowiązania — konieczności poparcia przez Stany Zjednoczone ewentualnej próby inwazji kontynentu przez Ciang Kai-szeka.

Ciang Kai-szek zareagował dość ostro przeciwko oświadczeniu Dullesa. Rząd nacjonalistyczny uważa się za rząd całego Chin i wobec tego do niego należy decyzja o losach Quemoy i Matsu. Nie godzi się na uszczuplanie zakresu praw suwerennych Chin.

Gwałtowność protestu Ciang Kai-szeka spowodowała osobiste wystąpienie prez. Eisenhowera z własnym jak gdyby wyjaśnieniem lub komentarzem do oświadczenia Dullesa. Prezydent Stanów Zjednoczonych rozszerzył przy tym zagadnienie na płaszczyznę dążeń komunistycznych do usunięcia Ameryki z obszaru Zachodniego Pacyfiku. W tym świetle — zdaniem Eisenhowera — obrona Quemoy i Matsu może okazać się konieczna. Dodatkowym elementem przemówienia prezidenta Stanów Zjednoczonych była krytyka krytyków polityki amerykańskiej na Dalekim Wschodzie ubrana w zdziwienie, że tak wielu sprzymierzeńców Ameryki zajmuje krytyczne w stosunku do niej stanowisko. Ta część mowy była niemniej ważna choć z innego względu, dawała bowiem do zrozumienia, że naciski neutralistów i ugodowców z pod znaku np. angielskiej Labour Party nie będą w ostatecznym rozrachunku brane w Waszyngtonie pod rozwagę. Nawiasowo warto zaznaczyć, że w tym właśnie duchu interpretowano mowę Dullesa; jako ukłon pod adresem bojaźliwych i niezdecydowanych sprzymierzeńców.

Prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział zatem dostatecznie wyraźnie, że Quemoy i Matsu, a także Formoza, nie mogą być rozpatrywane tylko i wyłącznie pod kątem umów z rządem nacjonalistycznym Ciang Kai-szeka, lecz także, i w pewnych okolicznościach przede wszystkim, pod kątem bezpieczeństwa i interesu Stanów Zjednoczonych.

Uspokajając zatem obawę, prawdziwą czy na pokaz, Ciang Kai-szeka, że nastąpić może prezymerzenie jego wysp ponad jego głowę, Stany Zjednoczone zastrzegły się także wyraźnie przeciwko jakimkolwiek próbom kompromisów kosztem ich własnych interesów.

W świetle tej analizy „sukces propagandowy“ Pekinu nabiera nieco innego wyrazu. Pekin swoje „humanitarne“ zaprzestanie ognia opatrzył przeciętą namyślnym apelem „Chińczyków do Chińczyków“, nawołując Formozę do porozumienia się w „imie pokój“. Warunkiem i celem jednocześnie ma być spełnienie właściwego celu komunistycznego. Jest nim wyparcie Ameryki z Pacyfiku Zachodniego.

Tak zatem cisza nad Quemoy znamiomować może odwrót Chin komunistycznych na nową podstawę do natarcia i wybór nowego sposobu oddziaływania na Amerykę w tej myśli, by pozbyć się jej obecności u swych brzegów. Groźba wojny — poparta pogroźkami sowieckimi — skutku nie odniosła. Przeciwnie wzmocniła determinację Amerykanów. Powstaje zatem koncepcja nowa, przewlekłych targów i przetargów, drobnych sukcesów — ewakuacja Quemoy byłaby jednym z nich — w których zmiekczenie przeciwnika nastąpiłoby w drodze „mikołajczykowski“ porozumienia Chińczyków w Pekinie z Chińczykami na Formozie.

Próby bezpośrednich rokowań z Formozą nie są nowością w dziejach polityki Mao Tse. Dotychczas nie uwińczył ich żaden sukces. Obecna reakcja Ciang Kai-szeka, który „zawieszenie broni“ nazwał „diabelskim podstępem“ i przestrzegł przed nim tak jak przestrzegal przed nadziejami w związku z chińsko-amerykańskimi rozmowami ambasadorów w War-

szawie, nie wróży powodzenia i tej nowej próbie. „Times“ wyraża co prawda nadzieję, że wcześniej czy później między chińskimi nacjonalistami i komunistami zostanie dobitny targ. By „nadejście“ ta mogła się spełnić potrzeba by jednak było zmiekczenia a nie zeszywnienia stanowiska Stanów Zjednoczonych. Jałowość „rozmów warszawskich“, zawieszonych podobnie jak ostrzeliwanie Quemoy na sześć dni i w których nie ma o czym rozmawiać, nie wskazuje na to, by Stany Zjednoczone miały zamiar zmiekczyć swoje stanowisko. Wzrost ich siły wojennej na Pacyfiku Zachodnim i coraz mniej maskowane przyznanie, że stawką w rozgrywce jest nie tylko bezpieczeństwo Formozy, lecz i ich własne bezpieczeństwo wskazuje raczej na to, że punkt zapalny przeniesie się znad Quemoy w inne miejsce kuli ziemskiej. Jego wybór zależeć będzie od woli

(Dokończenie na str. 8)

Kontrofensywa komunizmu w Polsce

W „Osservatore Romano“ z dnia 29-30 września ukazał się na pierwszej stronie artykuł F. Alessandrino pod nagłówkiem „Nauka religii w szkołach polskich“. Autor po przedstawieniu ostatnich wydarzeń z tej dziedziny, a przede wszystkim protestu Episkopatu Polskiego z dnia 9 sierpnia przeciw zarządzeniu, uniemożliwiającemu nauczanie religii w „tysiącach szkół polskich“, oraz przemówienia Gomulki z dnia 24 września, stawiał pytanie:

„Czyżby w Warszawie szukano pretekstów by bardziej jeszcze uderzyć w Kościół? Pewnym jest, że słowa Gomulki zostały wypowiedziane po powrocie z Moskwy, w czasie gdy w wielu krajach o reżymie „ludowym“ wzmagają się prześladowanie religijne“.

Wskazywaliśmy niedawno, że jesteśmy świadkami kontrofensywy politycznej i doktrynalnej komunizmu na wielu odcinkach i w wielu krajach. Akcja jest oczywiście kierowana z centrali moskiewskiej, a wykonywana przez posłusznych namiestników Chruszczowa na poszczególnych terenach.

W Polsce kontrofensywa ma na celu odzyskanie wpływu na odcinku, gdzie bankructwo komunizmu okazało się największe, najdotkliwsze i najgroźniejsze — na odcinku młodzieży. Nie mogąc pozyskać młodego pokolenia własnym programem pozytywnym, komuniści chcą przynajmniej zahamować oddziaływanie czynników uważanych przez nich za obce i wrogie, a

Wydajemy ten numer „Orla“ pod wstrząsającym wrażeniem wiadomości o nagłej i ciężkiej chorobie Ojca Świętego. W poniedziałek rano Papież uległ atakowi zaburzenia w krążeniu krwi w mózgu. W środę rano nastąpił drugi atak. Stan Chorego jest bardzo poważny.

W całym świecie cywilizowanym wieści te wywołały wielkie poru-

wienie i przygnębienie. Długi, już blisko 20-letni Pontyfikat Piusa XII przypadł na lata przelomu, lata wojen, łamania wolności narodów i człowieka, deptania godności ludzkiej, uderzenia przez siły zła: hitleryzmu i bolszewizmu w same podstawy cywilizacji chrześcijańskiej. Prze cały ten czas postać Papieża jaśniała wyjątkowym blaskiem nie tylko dla katolików. Wielkie zalety inteligencji, wykształcenie, silną wolę oddał na usługi swego Najwyższego Posłannictwa. Rozbudzał wiarę, głosił prawdę, krzepił przesładowanych, umacniał tych, którzy walczyli i walczą z siłami zmierzającymi do zniszczenia cywilizacji.

Dlatego Pius XII został uznany za jedną z najbardziej charakterystycznych postaci współczesnej, dramatycznej epoki. Sprawy polskie były przedmiotem Jego stałej troski. W czasie wojny zetknął się bezpośrednio z żołnierzami polskimi i ich dowódcami, odnosząc się do nich nie tylko z całą przyjaźnią, ale ze zrozumieniem dla naszej tragedii (czy to w czasie Powstania Warszawskiego, czy też z racji wydania nas w jarzmo komunizmu).

Dlatego też jako Polacy łączymy się z całym światem chrześcijańskim w modlitwie, by się spełniła wola Boga. Mocniej bowiem i wyraziście objawia się dziś prawda, że rząd nad duszami ważniejszy jest i trwalszy niż chwilowe triumfy wrogów Boga na ziemi.

W N U M E R Z E :

S. Klinga — Daleki Wschód — Daleki Zachód.

S. Mękarski — Literatura Polski malej i słabej.

J. Gniazdowski — Cudotwórca z Imoli.

Z. Stahl — Na marginesie uchwał Rady S. P. K.

A. Tomicki — Wnioski z triumfu.

W. Czereśniewski — Kraj 60.000 jezior (List z Finlandii)

o r a z

Przygotowania do Zjazdu Światowego S. P. K. — Zjazd Członków Polskich Sił Zbrojnych — Bridżowe mistrzostwa Europy — Rewia „Gwiazd na Picadilly“.

D Z I A Ł Y S T A Ł E :

Polskie życie kulturalne — Kronika wojskowa — Między plotką i anegdota — Przegląd sportowy (Europejski kongres koszykówki w Madrycie) — Krzyżówka i ósmy odcinek powieści szpiegowskiej Zofii Kozarynowej pt.: „ŚWIETNA KARIERA SIERZANTA“.

więc przede wszystkim Kościoła i religii. Stąd szereg zarządzeń o charakterze represyjnym, zapowiadającym wzniesienie prześladowania religii.

Do zarządzeń tego rodzaju należy rozporządzenie ministra oświaty Bienkowskiego z dnia 4 sierpnia, odbierające prawo nauczania religii w szkołach osobom zakonnym. Wywołało to stanowczy protest Episkopatu. W liście z dnia 9 sierpnia do „pełnomocnika rządu dla spraw z Kościołem“ Sztachelskiego, podpisanym przez biskupa Choromańskiego czytamy m.in.

„...Zarządzenie to budzi zdziwienie i zastrzeżenie, bowiem jest rażąca dyskryminacja osób zakonnych w stosunku do innych obywateli, nie jest oparte na przepisach prawnych, jest sprzeczne z zarządzeniem Ministra Oświaty z grudnia 1956 r., jest pogwałceniem Porozumienia, ubocznie via facti uniemożliwia nauczanie religii w szkołach, a w praktyce będzie zarzewiem niepokoju opinii publicznej i przyczyną konfliktów...“

„...Obecnie znowu via facti religia ze szkół i ta ponadobowiązkowa zostaje usunięta, bowiem zabraknie sił do nauczania religii. Kilka tysięcy osób zakonnych wykladało religię, obecnie po ich usunięciu i przy rygorystycznym przesunięciu nauki religii na pierwsze i ostatnie godziny — będzie fizyczna niemożliwością objęcie wszystkich lekcji przez księży i katechetów świeckich. Faktycznie, więc tysiące szkół pozostanie bez religii“...

Gomulka w przemówieniu z dnia 24 września zaznaczył co prawda, że nie

chce wojny z Kościołem. Ale fakty i sam tekst przemówienia mówią co innego. Wywodził on mianowicie:

„Wojny z Kościołem nie szukamy... Ale nie pozwolimy, aby określona część hierarchii kościelnej i duchowieństwa, pozostająca pod wpływem wrogich Polsce Ludowej kół watykańskich i dążąca do celów nie mających nic wspólnego z religijną misją Kościoła podważała porządek prawny i ustroj polityczno-społeczny naszego kraju“.

Poprzednio zaś mówił o jawnym i skrytym działaniu Episkopatu przeciw władzom „republik ludowej“ i oszernie uzasadniał zarządzenie ministra oświaty o usunięciu „emblematów religijnych“ czyli krucyfików ze szkół:

„...Z inspiracji Episkopatu wielu księży bądź osobście, bądź za pośrednictwem wierzących, zawieszano na ścianach izb szkolnych różne emblematy religijne, a wielu katechetów zaczęło wprowadzać zbiorowe modlitwy uczniów nie tylko w godzinach lekcji religii, lecz w ogóle przed lekcjami i po lekcjach“.

Fakty te są wystarczające. Poprzedził je najзд milicji na Jasną Górę i skazanie księdza Raczyńskiego za wygłoszone kazanie. Wojny z Kościołem rzekomo Gomulka nie szuka. Ale wojnę tę już prowadzi. Co prawda, usiłuje wykazać, że został przez Kościół, względnie przez Episkopat zaczepiony, ale rzeczywistość jest inna. Z tego musimy sobie zdawać sprawę.

(R. P.)

Zjazd i wystawa kawalerii polskiej

W dniach 4 i 5 września odbył się w Londynie licznie obsesany zjazd kawalerzystów i artylerzystów konnych połączony z otwarciem wystawy, o której piszemy poniżej.

W części oficjalnej zjazdu w niedzielę 5 września odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele Brompton Oratory celebrowane przez ks. infułata Michałskiego, który wygłosił także podniosłe kazanie.

Na otwarciu wystawy o godz. 11 przybyło ponad czterysta osób, które z trudnością zdołały się pomieścić w dwóch salach wystawowych i w hallu. W krótkim przemówieniu gen. J. Gluchowski, prezes zrzeszenia kół pułkowych kawalerii, mówił o ścisłym związku jaki istnieje między powstaniem Polski niepodległej w latach po pierwszej wojnie światowej i odwołaniem wojska polskiego. Gen. S. Kopański przemówił imieniem artylerzystów konnych.

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, generał W. Anders w dłuższym przemówieniu przypomniał zbiorowemu wysiłku wszystkich Polaków zarówno w walce o odzyskanie niepodległości jak i w jej obronie. Wysiłek ten był w dużej mierze wysiłkiem żołnierskim. Kawalerzyści polscy obowiązek ten spełnili i speł-

niają dotychczas dobrze. Choć pozbawieni broni w obecnej chwili, i choć tylko nieznaczna ich część przebywająca na emigracji może walczyć politycznie o Polskę, mają za swój obowiązek nieustannie w tej walce i pielęgnowanie ducha żołnierskiego. Mają też obowiązek przekazania go następcom z pośród pokolenia młodszego. Tradycja odgrywa w tym rolę nieposłednią — tak samo bowiem w walce zbrojnej jak i w walce politycznej, możliwości materialne, uzbrojenie i sprzęt, nie zastąpią nigdy wartości charakteru i siły ducha żołnierza i obywatela. Jedność myśli i zwarłość działania to przykazania, którym powinni pozostać wierni przede wszystkim kawalerzyści polscy. Ich wyrazem powinno być m.in. popieranie akcji niepodległościowej na obczyźnie, poświęcanie na nią swych sił i łóżenie na Skarb Narodowy, który akcji tej zapewnia materialne środki.

Z okazji 40-tej rocznicy powstania polskiej kawalerii i artylerii konnej przygotowana została w Instytucie gen. Sikorskiego w Londynie — staraniem Zrzeszenia Kół Pułkowych Kawalerii — imponująca wystawa dokumentów, fotografii i opracowań pisemnych, spośród

których niejedne mają niewątpliwie charakter prawdziwych relikwii wojskowych. Starannie zebrane i wyselekcjonowane eksponaty wystawione zostały w dwu salach i w hallu Instytutu. W pierwszej sali — Sali Honorowej — wystawione zostały liczne sztandary uratowane w kampanii wrześniowej 1939 r. i przewiezione różnymi szlakami do Anglii, części uzbrojenia, oporządzenia i mundurowania, jak wreszcie ogólne pamiątki związane z życiem kawalerii. W tej sali chyba najcenniejszą relikwią jest sztandar 1. Pułku Ułanów Krechowieckich ufundowany w 1917 r. przez Polki ziemi mińskiej. W początkach października 1939 r. sztandar został zakopany w Polsce i dopiero w 1946 r. dostawiono go do Anglii. Sztandar — nieco uszkodzony (dłatego znajduje się za szklaną gablotką) — ozdabia wstęga Wirtuti Militari, którą udekorował go Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Sztandarów tych jest 13. Jeden z nich — sztandar oddziału rozpoznawczego 1. Dywizji Grenadierów Armii Polskiej we Francji, ufundowany przez m. Arras — przechowywany jest w muzeum gimnazjum polskiego w Fawley Court u O.O. Marianów.

(Dokończenie na str. 8)

STANISŁAW KLINGA

Daleki Wschód — Daleki Zachód

OBSZARY lądowe Azji, leżące nad Oceanem Spokojnym, noszą w geografii nazwę Dalekiego Wschodu. Wody jednak Pacyfiku, obmywające te obszary, nazywają się Pacyfikiem Zachodnim. Ziemia jest kulą i określenie, czy jakiś jej teren leży „na wschodzie”, czy „na zachodzie” zależy od miejsca, z którego nań patrzymy. Z Europy jedzie się do Chin lub Japonii, lądem lub morzem, w kierunku wschodnim. Europejczyk odkrywając w ciągu wieków nowe lądy i morza, nadawali nazwy różnym terenom świata, traktując swą rodzimą Europę jako tego świata centrum. Ale Amerykanin, podróżując na Daleki Wschód, płynąc wodą, lub lecąc samolotem, w kierunku zachodnim. „Daleki Wschód” jest „Zachodem” od strony Ameryki.

Dzisiaj za szpalt prasy, z głośników radiowych, z ekranów telewizyjnych rzucają się nam bezustannie w oczy i obijają się nam o uszy nazwy: Quemoy i Matsu. Europejczyk, żeby zobaczyć te wyspy, zwraca się twarzą na wschód. Amerykanin natomiast patrzy na zachód. Amerykanin więc i Europejczyk odwracają się w tym wypadku plecami do siebie. Ma to znaczenie więcej niż symboliczne. Europejczyk i Amerykanin patrząc na Quemoy i Matsu mają przed oczami zupełnie różne krajobrazy — geograficzne, polityczne i militarne.

Europejczyk bierze mapę i widzi swój teren, teren zachodniej i wolnej Europy, jako mały półwysp, przyczepiony do eurazjatyckiego kontynentu. Tuż za Łabą rozpoczyna się olbrzymi obszar komunistycznego, kontynentalnego wladztwa ciągnącego się przez Europę Środkowo-Wschodnią, europejską Rosję, mroźny bezkres Syberii, Azję Środkową, wyżynę Tybetu i ogromne ludzkie mrowisko Chin komunistycznych. Miliard ludności, dziesiątki milionów żołnierzy, dziesiątki tysięcy samolotów, niezliczona, ale groźna liczba bomb atomowych — wszystko poddane żelaznemu kierownictwu partii komunistycznych Związku Sowieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej. Na wschodnim krańcu tego olbrzymiego masywu kontynentalnego Eurazji znajduje się parę małych wysp, obsadzonych przez chiński garnizon nacjonalistyczny. Komuniści chcą te wyspy zagarnąć. Europejczyk wynajdując tysiąc powodów — prawnych, politycznych, geograficznych, wojenno-strategicznych, wojenno-taktycznych — by komunistom te wyspy oddać, jako naturalne przedłużenie ich kontynentalnego stanu posiadania. Prawdziwy zaś powód postawy europejskiej jest jeden: strach przed komunistyczną potęgą, która panoszy się na przestrzeni od Łaby do Zachodniego Pacyfiku.

Amerykanin, jak powiedzieliśmy, będzie szukał Quemoy i Matsu na zachód od swego kraju. Jeśli mieszka nad Atlantykiem, przebiegnie po mapie, lub oczyma duszy, cały swój kontynent, który, choć mniejszy obszarem i ludnością od komunistycznego, eurazjatyckiego wladztwa, mieści na swoim terenie najwięcej i najbardziej technicznie zaawansowany przemysł świata. Doszedłszy do brzegów Kalifornii lub Oregonu, zobaczy przed sobą olbrzymi Ocean Spokojny. Na nim rozsiadane są tu i ówdzie wyspy i wyspki. Na tych wyspach i wyspkach znajdują się amerykańskie bazy wojskowe, lotnicze i morskie. Na wodach Oceanu pływają okręty wojenne. Największe skupienie siły wojenno-morskiej, jakie znały dzieje świata, dużej ilości samolotów, uzbrojonych w broń atomową, mogących obrócić w perzynę całą Eurazję komunistyczną.

Na zachodniej krawędzi tego olbrzymiego oceanicznego wladztwa Ameryki, amerykańskiego *mare nostrum*, jakim jest dziś Ocean Spokojny, znajdują się wyspy Quemoy i Matsu, obsadzone przez garnizon chińskich nacjonalistów. Zadnego prawa komunistów do tych wysp Ameryka nie uznaje, bo nie uznaje w ogóle komunistycznego rządu Chin. Na zachód od Quemoy i Matsu aż do Łaby nie ma prawa. Z pozycji potęgi morskiej można sobie pozwolić na taką logiczną postawę w stosunku do komunistycznej potęgi kontynentalnej. Psychika historyczna narodu amerykańskiego kształtowała się przez fakt, że rozwój Stanów Zjednoczonych odbywał się w kierunku zachodnim — w pogoni za słońcem. Idąc w tym kierunku w cią-

gu ostatniego półwiecza Stany Zjednoczone przeskoczyły Pacyfik.

OBECNOŚĆ Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie, względnie na Pacyfiku Zachodnim, nie jest zjawiskiem nowym. Amerykańskie dążenia na tym terenie zamykały się w formule: „polityka otwartych drzwi”. Działania amerykańskich okrętów wojennych otworzyły światu — i na świat — drzwi Japonii. Potem Ameryka proklamowała zasadę „otwartych drzwi” w stosunku do Chin. Wówczas zasada ta była skierowana przeciw interesom europejskich mocarstw kolonialnych — W. Brytanii, Francji i carskiej Rosji, usiłujących uczynić z Chin zamkniętą strefę swoich wpływów. Następnie spróbowała zrobić to samo Japonia drogą podboju militarnego. Wiadomo, jak się to skończyło.

Komuniści chińscy prowadzą politykę zatrzęsniętych drzwi. Rosja komunistyczna wspomaga ich w tym, mając zarezerwowane wejście dla siebie. Ameryka może godzić się z faktem zatrzęsniętych drzwi, ale nigdy z zasadą tej polityki. Ameryka nie może zrzec się swojej zasady otwartych drzwi, bo przestałaby być sobą. Utraciłaby wtedy swą historyczną tożsamość. Nie próbując obecnie zatrzęsniętych chińskich drzwi otwierać, Ameryka musi zachować w swym posiadaniu wszelkie narzędzia, zdolne do ich otwarcia: klucz, wytrych i łom.

Klucz, to Czang Kai-szek z nacjonalistycznym rządem na Formozie. Albo lepiej mówimy na Tajwanie, bo taka jest chińska nazwa tej wyspy. Mao Tse-tung wygnął wprawdzie Czang Kai-szeka z chińskiego głównego domu i zabarykadował do niego drzwi, ale Czang nie utracił swego do tego domu prawa, bo nie przestał być Chińczykiem. Pogląd ten jest oczywiście nie uznawany za słuszny przez wszystkich, którzy uznają komunistyczne podboje za nienaruszalne i niemożliwe do odwrócenia. Amerykański publicysta, W. Lippmann uważa podbój Chin przez komunistów za nieodwracalny i ubolewa, że polityka Dullesa zaplątała Amerykę w sojusz z Czang Kai-szkiem. Sojusz ten, jak każdy sojusz, sprawa od czasu do czasu jakiegoś kłopoty. Ale, gdyby kiedyś zaszła potrzeba, względnie nadarzyła się sposobność, wyważyć chińskie drzwi łomem, to znaczy użyciem amerykańskiej potęgi morsko-lotniczej, to lepiej jest przeprowadzić taką operację w towarzystwie kogoś, kto ma jakiś tytuł prawny do danego domu. Wtedy bowiem można się bronić przed zarzutem włamania.

Teraz rozważmy słowa Chruszczowa. Obiecuje on, że Związek Sowiecki poprze zbrojne Chiny komunistyczne, gdyby znalazły się one w zatargu zbrojnym z Ameryką. Wypowiedzmy tu hipotezę, że gdyby w Związku Sowieckim przeprowadzić ankietę na temat, kto gotów jest umierać za Quemoy, to chętnych znalazłoby się nie więcej, niż w brytyjskiej Labour Party, a na czele niechętnych — 99,67 proc. głosujących — stałby sam Nikita Chruszczow. Ale niewątpliwie ma on swoje powody by krzyczeć jak krzyczy. Nie chce Amerykanów w Azji.

Są to jednak uwagi na boku na tematy dość mgliste. Bardziej konkretnie są poglądy na znaczenie potęgi morskiej, wypowiedziane w liście do Eisenhowera:

Przygotowania do Zjazdu Światowego S. P. K.

W Domu Kombatanta w Londynie odbyło się konstytucyjne posiedzenie Komitetu VI Walnego Zjazdu SPK. W skład Komitetu wchodzi z urzędu członkowie prezydium Rady Głównej SPK: K. Ziemiński, Z. Sterniński, M. Przędziński, S. Benedykt i P. Heciak, Zarządu Głównego: S. Soboniewski, S. Lis, S. Wąsik, S. Lewicki, W. Donigiewicz, A. Treszka i Z. Szadkowski, przedstawiciel Biura Studiów, inż. J. Zaba, przedstawiciel Zarządu Oddziału W. Brytania: S. Brewka, S. G. Jeziński i H. Zabielski oraz dokooptowani na tym posiedzeniu — inż. J. Baraniecki, mec. M. Chmielewski, gen. K. Odzierzyński i dr Z. Stahl.

Na wstępie wybrano prezydium Zjazdu w składzie: płk. K. Ziemiński — przewodniczący, prezes S. Soboniewski — wiceprzewodniczący i S. Lewicki — sekretarz generalny Zjazdu światowego SPK.

... Nawiąsem mówiąc, w związku ze stosowaniem tego rodzaju metod w polityce zagranicznej USA pragnąłbym podzielić się jeszcze jedną uwagą.

Czy nie wydaje się Panu, Panie Prezydencie, że takie przetrzymywanie okrętów wojennych w jednym, raz w innym kierunku w znacznej mierze pozbawione jest teraz wszelkiego sensu — przynajmniej w stosunku do państw posiadających współczesne floty wojenne? Nie wiem, co Panu mówił Pana doradcy wojskowi, lecz nam się wydaje, iż oni też nie mogą nie wiedzieć, że era rozkwitu potęgi nadwodnych flot wojennych minęła, że należy do przeszłości. W wieku broni jądrowej i rakietowej o niespotykanej dotychczas potęgze i szybkości działania — te niegdyś groźne okręty wojenne nadają się w istocie rzeczy tylko do składania wizyt kurtuazyjnych i oddawania salutow, mogą jeszcze służyć jako cel dla odpowiednich typów rakiet. Być może, zrąni to próżność ludzi, którzy są ściśle związani z marynarką, lecz cóż robić, z bezspornymi faktami należy się liczyć...

Na Zachodzie istnieją dwie doktryny. Jedną z nich, sformułowaną przez Amerykanina, adm. Mahana, głosi, że w zapasach historycznych między potęgą morską i lądową zwyciężała zawsze morską. Drugą doktryną, autorstwa brytyjskiego geografów, Mackindera, udowadniała że potęga lądowa, która panuje nad „sercem lądu” to znaczy obszarem po obu stronach Uralu, zajmując pozycję strategiczną, z której może podbić cały świat.

Nie wdając się w rozważania na temat słuszności obu powyższych teorii, stwierdzmy jedynie, że Mahan był przedstawicielem państwa rosnącego we wpływy, bogactwa i siłę, a Mackinder był wyrazicielem epoki schyłku Imperium Brytyjskiego. Czas zaś, miejsce i warunki życia zawsze zabarwiają myślenie człowieka.

Co się tyczy poglądów Chruszczowa, to trzeba najprzód zapytać, dlaczego Rosja rozbudowuje swą marynarkę wojenną, jeśli ta nie ma znaczenia. Po drugie trzeba zapytać, czy Chruszczow odzwierciedla w tym wypadku poglądy swoich doradców wojskowych. Prawdopodobnie tak. A jest rzeczą znaną, że w swej historii wojennej Rosja wykazywała stale nieumiejętność strategicznego i taktycznego używania marynarki wojennej. Podczas wojny z Japonią pozamykała swe okręty w fortcach. Podczas pierwszej wojny światowej robiła z marynarki wojennej na Bałtyku przedłużenie frontu lądowego. Podczas drugiej wojny światowej wiecej było słychać o działaniach małej polskiej marynarki wojennej, niż o sowieckiej.

Słowem, gdy chodzi o ocenę roli sił morskich w nowoczesnej wojnie, to ani Chruszczow osobiście, ani jego doradcy wojskowi, nie są osobami o wysokiej kompetencji. Nie ma lepszego sprawdzianu dla słuszności ludzkiej myśli, jak wprowadzenie jej w czyn. Do tego czynu jednak nikt się nie spieszy, bo każdemu straszno. Więc amerykańska flota wojenna będzie przebywać na wodach Zachodniego Pacyfiku, przynajmniej tak długo, aż Chruszczow praktycznie udowodni swój teoretyczny pogląd, że era rozkwitu potęgi morskiej należy do przeszłości. Co prawda mówi on o flotach nadwodnych. Ale co on myśli o atomowych lodziach podwodnych?

STEFAN MEKARSKI

Literatura Polski małej i słabej

JAROSŁAW Iwaszkiewicz rozdarł szaty w oburzeniu z powodu niedogodności emigracji. Emigranci — dowiadujemy się od niego z „Twórczości” (nr 7, 1958) — opętani przez nęgalomanię narodową, nie rozumieją Kraju, „który w gruncie rzeczy przestał być ich krajem”. Emigranci, to „bogaci krewni, którzy pragną nas pouczać, a to jest chyba najtrudniejszą od zniesienia, piszą słowami gębokiej pogardy dla naszej biedy, dla naszej pracy, dla naszej krwi”. Ale nie nie wskórąją, bo „losy kultury polskiej zależą od tego, co robimy tu w Kraju”, w działalności kulturalnej zaś „najważniejszą rzeczą jest realizm, tzn. widzenie spraw we właściwym tle i właściwym kontekście”.

Uderzająca nieprawdziwość i chorobliwa absurdalność cytowanych zarzutów i insynuacji zwalnia oczywiście od poważniejszej z nimi rozprawy. Co natomiast warto i należy zrobić, to rozważyć bliżej sprawę owego „realizmu”, od którego Iwaszkiewicz uzależnia losy kultury polskiej.

Tak się składa, że właśnie rozgniewany na emigrację autor daje nam klucz do tych rozważań własnym rozumieniem „realizmu” w najnowszej swojej twórczości. Jego panoramiczne, na sagę dwudziestowiecznego społeczeństwa polskiego zakrojona powieść „Sława i chwala” (dotychczas dwa tomy, I — 1956, II — 1958) zyskała u „popaździernikowych” recenzentów komunistycznych najwyższą rangę we współczesnej beletrystyce, tym bardziej, że, jak pisał A. Kijowski w Roczniku Literackim 1956, wydanie pierwsze tomu opóźnione zostało przez „terror kulturalny kilku ostatnich lat”. Jest to, pisze cytowany wyżej krytyk, epitafium ginącego świata, ginącej filozofii i ginącej literatury, studium schyłku, oparte na obserwacji przemian, jakie zachodzą w obyczajach i gustach społeczeństwa. Jest to — pisze inny recenzent („Polityka”, nr 28, 12.7.1958) — dzieło wielkie, chluba naszej literatury, powieść bardzo potrzebna naszym pokoleniom, bo opowiada prawdy ich przeżyte w latach 1918, 1937 i 1945. Co prawda, krytyka komunistów podkreśla przede wszystkim negatyw wizji Iwaszkiewicza, którego bohaterowie nie miejsce ginącego świata, żadnego nowego — dotychczas przynajmniej — nie proponują. Co więcej, krytyka ta widzi nawet u autora trudność przezwyciężania obojętności między sobą a społeczeństwem oraz niezdolność do odpowiedzi na problem sensu życia w społeczeństwie.

Zarzut ostatni jest oczywiście nawiązany i niesłuszny. Artysta nie ma obowiązku rozwiązywać „problemu sensu życia w społeczeństwie”. Poważniejszą wygląda już zarzut entuzjastów „Sławy i chwały”, że autor jest wyobcowany ze społeczeństwa. Ale istotnym pozostaje przede wszystkim pytanie, dlaczego utwór Iwaszkiewicza pozyskał umysły i serca krytyków komunistycznych i czy rzeczywiście w powieści nie można się dosłuchać zapowiedzi nowych kształtów losu polskiego?

Główni bohaterowie powieści — to przybysze do Polski z dalekich ukraińskich kresów, ze zrusyfikowanej Odessy. Wiele w nich podobieństwa duchowego do niektórych — egzotycznych już w odczuciu polskim — postaci z pamiętników Stanisława Stempowskiego. Owszem, kilku z nich zaciąga się w 1918 r. do formacji ochotniczych na Ukrainie, ale jakże doskonale obojętny jest w istocie ich stosunek do sprawy niepodległości! Dla tych reprezentatywnych bohaterów „Sławy i chwały”, Polska jest małą krainą, małym narodem, w porównaniu z Rosją wydaje się tutaj wszystko drobne i ograniczone (t. I, str. 252). W lipcu 1920 r., gdy los kraju w śmiertelnych walkach się rozstrzyga, Polska cała wydaje się Januszowi Myszyńskiemu, głównemu bohaterowi powieści oparta na nieporozumieniu, na jakiejś nieprawdzie (t. I, str. 254). Cierpiący chronicznie na „Welt-schmerz” 24-letni Janusz nie bierze udziału w walce z bolszewikami do porozumienia we wrześniu 1920 r. Przeważa rozkosz wspinaczki na Mieguszowieckiej Szczyt, filozofuje na przelęty pod Chłopkiem i dopiero we wrześniu (przysłowiowa musztarda po obiedzie) znajduje się jako żołnierz na wsi kurpiowskiej, aby w chacie u gospodarza-bolszewika spotkać się ze swoim znajomym odeskim, zmoskwionym Wołodą Tarłą, który wręczy Januszowi propagandową broszurkę

o Leninie i powie: „My także chcemy Polski, lepszey Polski, nie takiej grafskiej” (t. I, str. 285). Nic dziwnego, że „w tym kontekście” główny bohater Iwaszkiewicza uzna, iż „za mało związał swoje losy z krajem, wydało mu się nagłe, że jest kosmopolityczną świnią” (t. I, str. 518).

W dwudziestolecie niepodległości wszystko w Polsce dla bohaterów Iwaszkiewicza jest złe, nijakie, posępne, obce. Wielki kapitał rządzą krajem (t. II, str. 30). Henryk Józefowski (w powieści Antoniewski) wychodzi na Donkiszota, usiłując doprowadzić do porozumienia polsko-ukraińskiego (t. II, str. 36). Kościół proteguje arystokrację i ułatwia rozwody katolickie (str. 42), a Janusz powie szczerze: „Gdybym pozostał na Ukrainie, gdybym się włączył w nurt rewolucji, nie odczuwałbym tej obojętności, bylibym z czymś związany” (t. II, str. 111). Za hrabią Januszem (Iwaszkiewiczem?) powie coś podobnego drugi bohater „Sławy i chwały” Karol Szymanowski (w powieści Edgard Szyller), wracając raz po raz wspomnieniami do Odessy, jako czegoś najdroższego, najlepszego, co sprawia, że muzyka jego nie może być związana z polską ziemią, której nie zna (t. II, str. 319). Nic dziwnego, że w takiej sytuacji ideowej i moralnej głównych bohaterów, żaden z nich we wrześniu 1939 nie znajduje się w szeregach walczącej Polski, bo „za jaką Polskę” ma się ginąć? (t. II, str. 421). To nie znaczy, że powieść — niezakończona — urywa się bez pointy i... wizji. Zawsze sympatią otaczani przez autora komuniści (Janusz wozni im do Hiszpanii dokumenty partyjne) zjawiają się przy końcu jako jedyni ochotnicy do walki (t. II, str. 408, 454) — podobnie jak w powieści Putramenta o Wrześniu — i to właśnie w chwili, gdy Rosja wbiła w plecy nóż Polsce i łączy się w sojuszu z Hitlerem.

Oto mamy odpowiedź na postawione wyżej pytania. Wiemy już, dlaczego „Sława i chwala” oklaskiwana jest gorąco przez komunistów i nie mamy wątpliwości, jaki to nowy świat, jaką nową filozofię i nową literaturę radby budować Iwaszkiewicz na gruzach starego. Wiemy również, na czym polega ów realizm, ustawiający sprawę na „właściwym tle” i „we właściwym kontekście” i mający zalecać oddanie przyszłych losów kultury polskiej w ręce środowiska, którego autor powieści jest aktualnym gwiazdorem. Ale równocześnie zdajemy sobie poręczytaniu „Sławy i chwały” bardziej aniżeli dotychczas sprawę z pewnością, że bohaterowie tej literatury małej Polski to tylko waziatki marginesu społeczeństwa polskiego. Prawda, tęsknota, wysiłek i myśl społeczeństwa podczas dwudziestolecia kuli — wbrew wszelkim pozorom innym — swe oblicze w organicznie różnym świecie wartości. Iwaszkiewicz sam wie o tym niewątpliwie równie dobrze, jak i my, wie również tak samo jak i my, że gdyby Polski nie spotkał cykl katastrof od 1939 roku — powieść „Sława i chwala” nigdy nie zostałaby napisana. Ta świadomością tłumaczy się też trzeźwy sąd komunistycznej „Polityki” o obojętności, jaka dzieli społeczeństwo od „realizmu” oportunisty i snoba, czyli od autora „Sławy i chwały”.

Alle Iwaszkiewicz wymyślając emigracji, podkreśla, że obelgi wypowiedział „w imieniu”; mówi: „my”, o „naszej biedzie, naszej pracy, naszej krwi”. Nie damy się już wprowadzić w błąd. Bohaterowie autora pouczyli nas, jakie to związki łączą go z polską biedą, pracą i krwią.

Nie znaczy to, aby był osamotniony i nie miał kombatantów w haftowaniu losów kultury polskiej „realistycznie” powiązanej z „miejscem, tłem i kontekstem”. P. Antoni Słonimski w przeciwieństwie do Iwaszkiewicza jest wprawdzie jałowy, przestał właściwie pisać, poza wierszykami w „Nowej Kulturze” p. S. Żółkiewskiego nie ma właściwie po powrocie do Polski żadnej pozycji bibliograficznej. Co więcej — drobica, którą Słonimski publikuje, wyrobiła mu opinię malkontenta, rozczarowanego rzeczywistością, zuchwałego liberala, który pozwala sobie na opozycję i z kamiennym spokojem przyjmuje upomnienia moskiewskiej „Zwiedzy”.

Tak, tak. A jednak Słonimski jest na szczytach swojej kariery. Jest prezesem Związku Literatów, którym nigdy w niepodległej Polsce nie zo-

(Dokończenie na str. 3)

LITERATURA POLSKI MAŁEJ I SŁABEJ

(Dokończenie ze str. 2)

stał. Reprezentuje. Jest ważny. „Radziec” pisarze fetują go w Moskwie. „Radziecki” minister kultury ściska mu ręce na bankiecie u ambasadora reżymu. I Słonimski mówi łaskawie do mikrofonu: Nie ma zasadniczych różnic między literaturą polską a rosyjską. Jest jedność. Różnic nas mogą tylko rzeczy nieistotne. Porozumiemy się — mówi malkontent, opozycjonista, liberal i rewizjonista.

O to właśnie chodzi. Porozumienie na pewno nie będzie trudne i zostanie zawarte. Jakież sukcesy! W propagandzie będzie się nazywało, że rewizjonizm w Polsce jest przewyższony, a Słonimski za proklamację jedności zasad polskiej i „radzieckiej” literatury będzie mógł nadal brykać egzystencjalistycznie i w wierszykach swoich bronić księżyc przed „koszmarem ziemi” oraz domagać się, by „przynajmniej niebo pozostało czyste”. Rola podobna do tej, jaką odgrywa Stefan Kisielewski, Stanisław Mackiewicz czy Melchior Wańkowicz. Pierwszy ma prawo pisać w swym tygodniku felietony jak najbardziej opozycyjne, byle przyjechał do Paryża czy Londynu wywać emigrację do „rozwiązania się” i poparcia Gomulki. Drugi może w organie Piaseckiego przypominać, że jest monarchistą, rozkochanym w Wilnie, byle służył wiernie propagandzie polityki zagranicznej Moskwy, broniąc swych zdobyczy terytorialnych w drugiej wojnie światowej. Trzeci może wydać nawet pod reżymem komunistycznym „Monte Cassino”, byle okaleczone cenzurą, przystosowaną do obcych interesów. Id., itd.

Do przewodniczenia literaturze okaleczonej ideowo i moralnie Słonimski pasuje, jak nikt inny. To on przecież podczas wojny, jeszcze pełnej wówczas nadziei zwycięstwa, bo w lecie 1941 roku — wystartował odważnie z wierszem pt. O Polsce słabej:

„Mówią o Polsce silnej, Już dziś liczą sztaby, Jak ją ziemią okopac, oprzeć na bagnecie. Leczą ja, wybaczenie bracia, pragnę Polski słabej, Ja pragnę Polski słabej...”

Ten ideał „Polski słabej” p. Słonimskiego prześcignął dziś na pewno wszystkie, najśmielsze jego nadzieje. Wszak wypełniło się nawet jego marzenie, wypowiedziane w innej zwrotce cytowanego wiersza, aby Polska była krajem

„Gdzie dłoń nieutrudzona okrutnym żelazem I gdzie granica wita tylko drogowskazem.”

Istotnie. „Okrutne żelazo” na terytorium Polski nie musi już razić poety bo jest w dyspozycji nie polskiej, granice zaś również nie budzą troski, bo wszystkie są — jak proroczo doradzał Słonimski — „drogowskazem”. Drogowskazem do Moskwy.

Toczy się na emigracji dyskusja na temat: jedna czy dwie literatury. Wydaje się, że normalnego Polaka zęgnięciem to w obecnym okresie historycznym interesować powinno od strony zawartości tych literatur, a nie ich stosunku do losu, jaki przeżywa, z jakim się zmagają osobowość naszej kultury narodowej. Meritum, charakter, moralność światopoglądowa i narodowa literatury polskiej jest dziś najważniejsza i rozstrzygająca. Jeśli to kryterium przyjmujemy, a tylko to przyjąć powinniśmy, wówczas twierdzenia o jedności zasad we współczesnej literaturze, publikowanej w Kraju i na emigracji niepodobna uogólniać. Walkę o wewnętrzna niezależność kultury polskiej prowadzić może tylko literatura na emigracji niepodległościowej. Tego prawa literatura w Kraju nie ma. I tego obowiązku spełniać nie może. Co gorsza, ma obowiązek — jak wynika z oświadczenia Słonimskiego w Moskwie — przestrzegać jedności zasad ideowych z literaturą nie polską, służącą poglądowi na świat, którego Tysiąclecie Polski jest zaprzeczeniem.

Piśmiennictwo w Kraju, choćby skrzące się od talentów, formalnej świetności i intelektualnego bogactwa może być dziś tylko literaturą Polski małej i słabej. S. Mękasinski

GRYF poleca NOWOŚĆ:

Józefa Łobodowskiego W STANICY

Pasjonująca powieść z życia kozackich kubańskich, opisująca barwnie jej zwyczaje i zaciętą walkę z bolszewikami. Na tło powieści narzucił autor porywający za serce wątek romantyczny i przeżycia dorastającego chłopca — Polaka, rzuconego w wir rewolucji bolszewickiej. Stron 386 — w oprawie twardej — Cena 15/-

„W stancji” jest dalszym ciągiem trylogii Józefa Łobodowskiego, której pierwszą część p. t.

KOMYSZE jest jeszcze w sprzedaży w niewielkiej ilości egzemplarzy. Obie książki są jednak odrębnymi powieściami. Stron 333 — w oprawie twardej — Cena 15/-

Tom XXXI „Biblioteki Kultury” W POLU

Powieść Stanisława Rembeka o losach kompanii piechoty w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Wydana po raz pierwszy w r. 1937 została obecnie wznowiona na emigracji. Stron 308 — Cena 15/-

Janusz Jasińczyk SŁOWO O BITWIE

Najlepsze dzieło literackie o człowieku w mundurze, osnute na tle boju Brygady Karpackiej w pustyni libijskiej. Stron 267 — w oprawie twardej — Cena 21/-

KONTAKT BEZPOŚREDNI

Bryg. Claude H. Dewhursta w przekładzie J. P. Herwartha Pełna humoru i wnikliwych obserwacji opowieść o współpracy oficera angielskiego z armią sowiecką. Stron 231 — w oprawie twardej — Cena 12/-

Ukazał się w druku drugi nakład rewelacyjnej książki Marka Hłaski wydany przez „Kulturę”.

CMENTARZE

Stron 258 — Cena 15/-

ZJAZD CZŁONKIŃ POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

W salach „Ogniska” w Londynie odbył się dwudniowy zjazd koleżeńskich członkiń Polskich Sił Zbrojnych wszystkich służb. W zjeździe wzięły udział panie z oddziałów A. K., P. W. S. K., marynarki, lotnictwa, służby zdrowia i szkolnictwa.

W pierwszym dniu zjazdu odbył się koncert artystek-żołnierzy z udziałem Niny Oleńskiej, Heleny Kamińskiej, Lucyny Romanowskiej, Marii Reszczyńskiej-Stypińskiej, Zofii Terne, Janiny Włórczej, Ireny Kora-Brzezińskiej,

W części drugiej Włada Majewska wykonała lwowską „Rozmowę z księżycem”, Hemara, Nina Grudzińska wykonała piosenkę „Obieżyświaty”, nado wystąpiły ponownie pp. Reszczyńska, Romanowska, Włórczka, Barbara Reńska, Jadwiga Domańska oraz powitana serdecznie okłaskami Weronika Ignatowicz, która wykonała kilka piosenek Jacka Machniewicza.

Po tym programie przemówiła do zebranych b. komendantka główna P. W. S. K. p. Maria Lesniakowa.

W niedzielę odbyło się nabożeństwo w kościele Brompton Oratory a następnie właściwe obrady w „Ognisku”. W obradach wzięła m. in. udział p. Aleksandra Piłsudska, członek Komitetu Honorowego, a b. komendantki główne: Maria Lesniakowa, Antonina Płowska, Wanda Gertzówna, Paulina Chwalibóg, Halina Czarnocka wygłosiły krótkie przemówienia. P. Teodozja Lisiewicz mówiła o lotnictwie.

We wspólnym obiedzie wzięło udział około 200 pań. W serdecznym nastroju wspomniano dawne przygody, gdy w mundurze żołnierskim przemierzano się różne kraje w służbie dla Polski.

Piosenki wojskowe przy kawie odśpiewała p. Renata Bogdańska a Lucyna Romanowska piosenki akowskie.

Zjazd przygotował starannie Komitet Organizacyjny pod przewodnictwem p. Ireny Grabskiej-Horbaczewskiej.

Zbiegły się w czasie dwa wieczory poświęcone poezji: pierwszy zorganizowany przez Zjednoczenie Polek w W. Brytanii. Z powodu sprzedania dawnego domu i nie znalezienia jeszcze nowego, Zarząd Zjednoczenia nie mógł swego bieżącego „Zwego Dziennika”, który tym razem zmienił się w „Rocznik Poetycki”, urządzić we własnym lokalu i musiał skorzystać z sali zebrań Stowarzyszenia Techników Polskich.

Na program złożył się czterogłos poświęcony poezji Beaty Obertyńskiej. Jako pierwsza zabrała głos autorka, która recytowała swe własne utwory. Przewodniczyła Teodozja Lisiewicz. Jan Bielatowicz poświęcił obszerny i bardzo pouczający szkic całokształtowi twórczości pisarskiej Beaty Obertyńskiej, Barbara Reńska odczytała urywki prozy ze zbioru nowel wspomniany i powieści wydanej w zeszłym roku przez „Veritas”.

Teodozja Lisiewicz nawiązała w zagajeniu do dawnej i wciąż trwającej przyjaźni z bohaterką wieczoru, pokazując

Rewia „Gwiazd na Picadilly”

Sezon teatralny rozwija się równie okazale, co życie literackie lub artystyczne. Rozoczęło go kilkakrotnie powtórzone przedstawienie „Księcia Niezłomnego” z okazji „Dnia Aktora”. A poza tym idą równoległe dwa programy rewiowo-kabaretowe, zresztą zupełnie od siebie odmiennie. O programie „Na bezrybiu...” wystawionym z udziałem gości z Kraju w osobie Tołi Mankiewicz — była już mowa na tym miejscu. Obecnie wypada scharakteryzować „Gwiazdy na Picadilly”, wystawione w centrum angielskiego Londynu, w sali teatralnej „Pigalle”. Udział w programie biera już nie przybyłszy z Kraju, lecz artyści polscy z Paryża i z Monachium oraz goście cudzoziemscy z Paryża, Londynu i bodaj Helsinek.

Udział „londyńczyków” w tej rewii jest wcale znaczny, jeśli wziąć pod uwagę, że dyrektora jest w ręku Stanisława Belskiego, administracja — Jana Bersona, oprawa muzyczna — Bernarda Czaplińskiego, a teksty są S. Belskiego, R. Kiersnowskiego, J. Machniewicza (też z Paryża) i in. Program rozpoczyna gość w osobie Alexy Maxwell, doskonałej akompaniatorki, wciągniętej ostatnio do polskich imprez przez współudział w występach baletu Parsella. Konferansjerkę prowadzi Danuta Czyska, przyswojona już całkowicie scenie rewiowej. Występami w skeczach reżyserzy każą jej za każdym razem jakby na nowo zdawać egzamin z kraski zamiast po prostu cieszyć się jej urodą, strojami, i spokojnym podaniem dowcipów i zapowiadaniem występów.

Już w pierwszych numerach można było cieszyć się występami Wacława Krajewskiego w nowej roli piosenkarza, znanego z radia pod pseudonimem Karola Marka. Szczególnie podobała się piosenka poświęcona Węgrowi, w której podziwiać można było subtelne operowanie głosem i starannie przygotowaną gestykę. Duet z nim stanowił Gwido Borucki, który pełny swój popis miał w „Piosenkach z Harmonią”. Szczególnie zabawny był S. Belski, z Lawińskim w skecu „Walka Pana Majora” pomysłu J. Tuwima. Ludwik Lawiński zaś, dopiero jako dziadek w roli młodego ojca z pieluszką w ręku w „Pociesz”, był naprawdę we własnym repertuarze.

O ile pierwsza część programu stoi pod znakiem przewagi męskiej, o tyle w drugiej znajduje się miejsce na pokaz urody i talentów kobiecych. Szczególnie wzruszający, a przy tym widowiskowo mocny, był występ Weroniki Bell, której pierwsze kroki na scenie sędzić było można na Środkowym Wschodzie, jako młodzieńkiej ochotniczki Very Ignatowicz. Dziś jest ona wielką vedettą paryskich „Folies Bergeres”, których zespół daje obecnie gościnne występy w londyńskim „Winter Garden”. Swym metalicznym głosem, pięknie modulowanym w pianach, wykonała najpiękniej wiązankę melodii z „My fair Lady” w przekładach J. Machniewicza, doskonałego autora tekstów i — dodajmy — męża Pani W. Bell. Nado wykonała wiele piosenek polskich i francuskich.

Razem z nią wystąpiła inna gwiazda „Folies Bergeres”, pełna werwy Colette Fleuriot, tańcząc na pointach ilustrując swe piosenki, tryskające szelmowskim humorem. P. Fleuriot zdobyła serca polskiej publiczności uczeniem się w lot polskich zwrotów. Parsyśka pikantę pokazała w skecu „Doktor” z Gwido Boruckim. Kończąc niespodzianką był występ Colette i Weroniki w roli „Dolly Sisters”. Program dopełniał popis taneczny fińskiej pary akrobatycznej leila i Iveniusa z bardzo odważnymi ewolucjami w powietrzu partnerki. Partner dał się poznać Polakom już w roku 1939, gdy występował w warszawskiej „Adrii” i krakowskim „Fenixie”.

Zapatrzywszy się na cudzoziemców łatwo byłoby popełnić niesprawiedliwość, przeocząc takie numery polskie, jak skecz z Lawińskim pt. „Obiadek”, w którym Klara Belska dała jedną ze swych doskonale podpatrzonych kobiecych sylwetek charakterystycznych.

W finale nastąpił przegląd wszystkich gwiazd zespołu, które rozbawiona publiczność przyjmowała porówni bardzo serdecznymi okłaskami (On)

Polskie życie kulturalne

POLSKA POEZJA — W ORYGINALE I W PRZEKŁADACH

jej życie poprzez okresy szczęśliwości lwowskiej i późniejszej martyriologii w więzieniach sowieckich, gdzie przyjaźni znowu się spotkały. Rozdzielone, spotkały się powtórnie w kresu wędrówki żołnierskiej. To najwyraźniej zaimprovizowane wspomnienie utrwalone być powinno jak najszybciej, gdyż żadne streszczenie nie odda jego nuansów, i światłocieni, a stanowi kartę bardzo charakterystyczną i chlubną.

Nie sposób pokusić się też o szczegółowe streszczenie referatu Bielatowicza, które powinno się znaleźć w przygotowanym do druku wyborze poezji Beaty Obertyńskiej. Mówimy wyborze, gdyż właściwie z tego szkicu dopiero dowiedzieliśmy się, jak obfity dorobek literacki posiada nasza poetka i jednocześnie jak trudno byłoby wydawnictwom wydać wszystkie jej dzieła. Zarząd szkicu został już ogłoszony w prasie literackiej („Wiadomości” ROK XIII, nr. 19/632 z 11 maja 1958 r.) i z niego można było się już dowiedzieć o szczegółach biograficznych, o powinowactwach Wolskich, Młodnickich, Pawlikowskich, i Obertyńskich. Podane też zostały informacje bibliograficzne o dotychczasowym dorobku książkowym poetki: 4 tomy w „Bibliotece Medycejskiej”, zbiór wierszy dawnych i nowych „Otwawa” w Rzymie 1945 r.; a przedtem proza „Gitarra i tamci” (1925) i „Ziarnka Piasku” (1957), a na szlaku wojennym pod pseudonimem Marii Rudzkiej wydane w Rzymie wspomnienia z zesłania pt. „W domu niewoli” (1946). Wreszcie znajduje się w tym szkicu i wnikliwa analiza wartości poetyckich zarówno wierszy, jak i prozy Obertyńskiej.

Próbki tej prozy z tomu „Ziarnka piasku” o kraju lat dziecinnych odczytała Barbara Reńska w sposób prosty i bezpośredni, pozwalając samemu tekstowi mówić swym poetyckim realizmem tak wyczulonym na wszelkie wrażenia zmysłowe. Sama poetka zaś, na wstępie i na zakończenie wieczoru, wygłosiła z pamięci długi szereg swych utworów z różnych okresów twórczości, wśród których był i „Odwar lipowy” i „Tarta róża”, „Nie to się chce powiedzieć...”, „Nocny stróż”, „Nasza słota”, „Dokładność”, „Sw. Elżbieta”, „Zamknięte okno”, „A potem „Czas”, „Tajga”, „Lucyfer”, „Wiersz purpurowy”, „Jasmin”, „Śmierć Pierota”, „Najpierwsza z tęczy”.

„Róża Zachodu”, „Kapielisko gwiazd”, „Anglia” i „List”. I nie było to bynajmniej jakieś rozlewisko romantyzmów, ale wartki, związanej mogno formalnie, potok impresji i refleksji, których próbki czytelnicy nasi mieli w swoim czasie sposobność czytać na łamach „Orla Białego”.

Dla miłośników poezji miłą niespodzianką była również audycja nadana przez radio brytyjskie w „Trzecim Programie”, przeznaczonym dla intelektualistycznych słuchaczy. Złożyły się na nią przekłady z poezji polskiej na angielski przygotowane przez dr. Jerzego Pietrkiewicza, występującego teraz pod zniekształconym, dla wygody tuziemców, nazwiskiem Peterkiewicza, oraz przez Burns Singera, Szkota, urodzonego w Ameryce. Program ten przygotowany był z intencją przedstawienia próbek literatury zaniedbanej, a przecież należącej do najbogatszych w Europie.

Recytowane były bardzo wyraziście przez Denis McCarthy i Allan McClelland, sądząc za nazwisk również Szkotów, utwory 11 poetów poczynając od Kochanowskiego (1530—1584), Mickiewicza, Krasieńskiego, Krasickiego, Norwida. Szczególni poeci i ich twórczość była wzięta, ale bardzo trafnie charakteryzowana i omawiana, niekiedy na tle porównań i przeciwstawień z wielkimi współczesnymi poetami Zachodu.

Dla Polaka było to świeże spojrzenie na bliskich sobie twórców, oglądanych raczej z ustalonej już od dawna perspektywy narodowej. Dla cudzoziemców komentarze te były łącznikiem zbliżającym nowe dla nich przekłady do znanych sobie już wartości i wielkości poetyckich. W sumie była to impreza bardzo dobrze pomyślana.

Obaj tłumacze są poetami i do przygotowania swych przekładów zastosowali swoją metodę. Polak tłumaczy teksty polskie prozą na angielski, Szkot zaś zamienia tę prozę na mowę wiązaną. Wreszcie Polak poddaje krytyce uzyskany wynik, rozstrzygając czy odtworzony został dostatecznie wiernie duch oryginału. Zainteresowania Burns Singera poezją polską tłumaczyć się mogą również i tym, iż matka jego była pochodzenia polskiego a on sam posiada pewną znajomość języka polskiego. (n)

SPECJALNA OKAZJA!!

RESZTKI MATERIAŁÓW OD 1 DO 3 1/2 YARDA KUPON na wysyłkę do Polski LUB NA WŁASNY UŻYTEK W ANGLII

Do obejrzenia i zamówienia w sklepie WINTREX 60-64 PEMBROKE ROAD, LONDON, W. 8. Sklep otwarty od 9.30 do 6 wieczorem. W soboty do 1-szej po południu.

RAKUSENA wyborowe produkty żywnościowe

- Biszkopty śniadankowe, Biszkopty imbirowe, Kruche ciasteczka, Petit Beurre, Ararat (biszkopty), Makaroniki kokosowe, Biszkopty „Nice”, Biszkopty z kremem, Paluszki czekoladowe, Biszkopty lekkostrawne, Biszkopty kremowe (Bourbon), Biszkopty mieszane, Biszkopty wodne, Biszkopty chrupkie, Biszkopty cocktailowe, Biszkopty pszenne, „Superfine” (op. rodz.), „Superfine” (op. pdr.), Maca wyborowa, Herbatniki z macy, Maca jajeczna, Maczka macowa średnia, Maczka macowa drobna, Maczka do ciastek, Maca krucha, Rosół z kury z kluseczkami, Mandle z jaj, Wermiszel z jajkiem, Wermiszel z jajkiem, Kluseczki jajeczne, Łazanki z jajkiem, Surowe kluseczki z jaj, Makaron długi, Spagetti długie, Alfabet z ciasta, Zaciereczki, Zwierzątko z ciasta, Wermiszel drobny, Wermiszel średni, Kluski zwykłe, Łazanki, Surowe Farfale, Łuczki, Perłowka, Muszelki, Makaron krótki, Farfal piecz., Semolina (drobn. śr. gr.), Groch (marrowfat), Groch (żółty łuskany), Groch (zielony łuskany), Fasola grubą, Soczewica, Ryż (łuskany), Ryż (mielony), Pęczak, Platkii jęczmienne, Mąka kartoflana Farina, Mąka („self-raising”), Mąka zwykła biała, Tapioka, Sago, Maczka kukurydza, Fasolka francuska, Mieszanka owocowa, Dzemy, Rodzynki (Sutt.), Porzeczki, Rodzynki kalif. bez pestek, Rodzynki drylowane, Proszek kokosowy, Migdały mielone, „Fry-o-lets”, Proszek curry, Korzenie do marynat, Imbir, Korzenie mieszane, Cynamon, Biały pieprz, Sos owocowy, Sos pomidorowy, Ocet słodowy (brun.), Ocet dystylowany (biały), Esencja kwaskowa, Sól stołowa, Sól kuchenna, Margaryna „Goldana” (K), Tuszcz do gotowania „Goldana” (K), Olej orzechowy, „Frum” proszek do czyszczenia, „Frum” proszek mydlany, „Frum” mydło kuchenne, Lampki żalobne, Świece białe (zimowe) S 12, Torebki do biszkoptów, Torby do biszkoptów, Torby do sprawunków

Żadajcie we wszystkich sklepach kolonialnych Chętnie służymy informacjami handlowymi LLOYD RAKUSEN & SONS LTD., MEANWOOD RD., LEEDS 7

Swój do swego POPIERAJĄC FIRMY POLSKIE WZMACNIAMY SIĘ NAWZAJEM!

ZDZISŁAW STAHL

NA MARGINESIE UCHWAŁ RADY S.P.K.

Dodatek „Z życia Kombatantów“, zamieszczony w poprzednim numerze „Orla Białego“ (z 4. 10. 1958), zawiera pełny tekst uchwały Rady Głównej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów z objaśnieniami i referującym ważniejsze problemy komentarzem redakcyjnym, czyli pochodzącym z kół Zarządu Głównego SPK. Sama treść jednak uchwał, zwłaszcza niektórych spośród z nich, a także rola w życiu polskim organizacji, która je powzięła, są tak poważne i powszechnego znaczenia, że należy im się uwaga ze strony szerszych kół polskiej opinii, nie biorącej bezpośrednio udziału w organizacyjnych pracach kombatantkich.

Można zresztą rozumieć, że wypowiadając się w tak zasadniczych sprawach, jak stosunek emigracji do Kraju z jednej strony, a do reżymu komunistycznego z drugiej, czy też rozważając zagadnienie ewentualnej potrzeby „centralnej organizacji społecznej polskiej niepodległościowej za granicą“ oraz publikując odnośne uchwały, SPK oczekuje właśnie szerszej dyskusji i wszechstronnego rozważenia tych ogólnych problemów. Za postawienie zaś ich i rzetelną pracę, włożoną w dotychczasowe osiągnięcia należy się już dzisiaj Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów wdzięczność, ponieważ umiało sformułować ważne zasady w jednych sprawach kaptialnego znaczenia oraz rozpocząć dyskusję nad innymi, również żywotnymi.

Kraj — emigracja — reżym

Pierwsza, z kolei i co do swojej istotnej wagi, uchwała „w sprawie postawy emigracji“ jest szczególnie trafnym, szczęśliwym i potrzebnym sformulowaniem sensu naszego pozostawania na emigracji i celów, dla których przy tej tragicznej decyzji trwamy. Sformułowanie to jest tym bardziej potrzebne, że od dwu lat czyli od „polskiego października“ komunistyczny reżym zmienił metody walki z niepodległościową emigracją i przeszedł od dawnej, otwartej brutalności do obłudnego wyzyskiwania zdrowych uczuć przywiązania do kraju oraz do podstępnej rozkładania postawy oraz polityki emigracyjnej, pośrednio i od wewnątrz.

Obłudna ta i podstępna taktyka polega na próbach utożsamienia w oczach emigracji reżymu z Krajem i przekonywania jej, że najodpowiedniejszą formą emigracyjnej pomocy dla Kraju jest po prostu i wyłącznie pomoc materialna. Tego rodzaju rola społeczności emigracyjnej wobec Kraju, analogiczna do roli zarobkowego wychodźstwa krajów wolnych i taka sama, jaką odgrywali Polacy za granicą w dwudziestolecie niepodległości, jest oczywiście bez porównania łatwiejsza, wygodniejsza i prostsza od zadań politycznej emigracji niepodległościowej. Toteż trafia ona do przekonania niektórym, szczęśliwie nielicznym, emigracyjnym elementom o ciśnieńskich horyzontach i bardziej materialistycznym pojmowaniu zadań życiowych.

Tym wyciecznym reżymowym, przywołanym z braku zrozumienia, naiwności lub nawet ze złej woli, przeciwstawiła uchwała Rady SPK jasne i jedynie słuszne sformułowanie roli niepodległościowej emigracji politycznej, jaką od zakończenia wojny byliśmy i jaką pozostaniemy. „Emigracja — czytamy — stanowi integralną część narodu. Wola odzyskania przez państwo polskie niepodległego bytu, zrzucenia moskiewskiego i komunistycznego jarzma jest powszechna w narodzie polskim, łączy Polaków w kraju i nas na obczyźnie. Reżym dąży do ograniczenia działalności wyłączonej do niesienia pomocy materialnej krajowi. Reżym ma na celu podporządkowanie sobie emigracji oraz zniszczenie ośrodka, który ma możliwość w sposób swobodny i nieskrepowany wyrażać postawę całego narodu. Podział narodu polskiego na kraj i emigrację jest sztuczny i wypaczający prawdziwy obraz rzeczywistości. Linia podziału biegnie bowiem pomiędzy tymi, którzy stanowią obecny reżym lub mu się dobrowolnie zaprzęgli, a olbrzymią masą narodu w kraju i na obczyźnie, która pragnie Polski niepodległej, wolnej od obcej przemocy i komunizmu“.

Nic do tych uchwał SPK, przytoczonych w najważniejszych wyjątkach, nie trzeba dodawać. Trzeba tylko, aby ich treść była rozpowszechniana i dobrze przemyślana również przez tych, którzy dali się bez zlej

woli nakłonić do rezygnacji z wielkich celów niepodległościowej emigracji politycznej a sprowadzić jedynie do roli wygodnej dla siebie, ale przede wszystkim pożytecznej dla, trzymającego Polskę w niewoli i nędzy, komunistycznego reżymu.

Sprawa objęcia emigracji jedną organizacją społeczną

Drugą ważną sprawą, ale słusznie postawioną przez Radę SPK jako zagadnienie dyskusyjne i wymagające dalszych studiów oraz porozumienia z „innymi ośrodkami politycznymi i ideowymi“, jest problem potrzeby „centralnej organizacji społecznej polskiej niepodległościowej za granicą“, jak określa to, nieco przyceiężko, odnośna uchwała SPK, druga z kolei. Idea powołania takiej organizacji, stojącej na gruncie walki o niepodległość, przeciwstawionej komunistycznemu reżymowi i odpornej na jego wpływy oraz infiltracje, a obejmującej wszystkie skupienia emigracyjne w wolnym świecie, jest oczywiście pożądaną i byłaby warta skutecznego zachodu. Mogłaby na tej drodze powstać nie byle jaka potęga! Ale, jak doprowadzić do takiego celu? Jak osiągnąć zamierzenie tak ambitne, skoro tyle akcji zjednoczeniowych, społecznych czy politycznych, nie spełniło swego zadania, nawet mniej szeroko zakreślonego. Myślę, że rozważając tę piękną ideę, a zwłaszcza — gdyby miało dojść do tego — przystępując do jej urzeczywistnienia, trzeba przede wszystkim pamiętać ostrożnie o znanej prawdzie, że często „lepsze jest wrogiem dobrego“, albo choćby „mniej złego“.

Zaczynając więc od przykładów, doświadczeń i dotychczasowych osiągnięć organizacyjnych w dziedzinie społecznej, przypomnijmy, że szereg organizacji tego rodzaju już istnieje. Istnieje więc przedwojenny „Światowy Związek Polaków z Zagranicy“ (Światpol) o znaczeniu — z natury rzeczy — ograniczonych agendach. Istnieją też powojenne organizacje o

charakterze centralnym, jak Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego z siedzibą we Francji i Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii. Istnieją wreszcie przedwojenne przeważnie organizacje centralne zarobkowej emigracji polonijnej w poszczególnych krajach zachodnich ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Ale, czy mamy obecnie wśród emigracji niepodległościowej ośrodek, który mógłby się pokusić o objęcie tych wszystkich, tak różnorodnych a rozrzuconych geograficznie skupień jedną, centralną siecią organizacyjną? Czyż nie powstałaby w ten sposób jeszcze jedna nadbudówka, efemeryda imprezy „kongresowej“, po której nie pozostałoby ani trwałego by nie pozostało?

I jeszcze jedno. Oparciem dla tak ambitnie pojętej wszechorganizacji wychodźczej, mogłoby najłatwiej stać się własne państwo teje społeczności emigracyjnej. A skoro w Polsce mamy dzisiaj narzuconą formę państwową moskiewskiego komunizmu, zbyt pochopnie i bez odpowiednich środków oraz podstaw własnych inicjując taką wszechorganizację, czy nie oddalibyśmy w rezultacie — wbrew naszym najlepszym zamierzeniom — usługi naszym komunistycznym wrogom? Tak podstępnie przecież zabiegającym o podporządkowanie sobie emigracji i następnie rozłożenie jej niepodległościowego charakteru, jak to słusznie pierwsza uchwała Rady SPK napiętnowała.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wydaje się, że droga zjednoczenia organizacyjnego emigracji powinna być ostrożniejsza, stopniowa i raczej wiążąca istniejące żywotne zrzeszenia, niż inicjująca nowe. Raczej pogłębiająca i uwalniająca współdziałanie między istniejącymi organizacjami, niż budująca nad ich głowami jeszcze jedną, tak rozległego zasięgu, że pozbawioną realnych podstaw własnych nadbudówkę, która w takiej sytuacji mogłaby ponadto wpaść we wrogie ręce.

WAWRZYNIAC CZERESNIEWSKI

TRZEBA opuścić Helsinki by poznać tzw. prowincję rozległego, leśnego i jeziornego kraju. Około trzech czwartych Finlandii pokrywa las. Około dziesiątej części terytorium stanowią jeziora. Są one różnej wielkości. Niektóre ciągną się kilometrami. Wszystkie są malownicze. Podobno jest ich około 60.000. Miast jest 35, a osad przemysłowo-fabrycznych 31. To wszystko na cztery miliony ludności. Na roli i w lesie pracuje 41,5 proc. Finów. W przemyśle — 29,2. Poza stolicą dwa miasta mają ponad 100 tys. mieszkańców: Turku i Tampere.

Fińska prowincja składa się zasadniczo z trzech elementów: domostwa, lasu, jeziora. Człowieka napotkasz wszędzie. Na tle domu, lasu, jeziora. Las jednak dominuje. Wokoło, ponad wszystkim i przede wszystkim — las, najczęściej przerywany głazami. Bór ta raczej iglasty, chociaż brzoza rozjaśnia jego ciemnię. Domostwa są przeważnie drewniane, z reguły na podmurowaniu. Z daleka zaobserwować łatwo, że są one przykładowo czyste i schludne, zawsze świeżo odmalowane. Widać nad nimi nieustanne staranie ludzkie. A przy każdym domu, niezależnie od pory roku, sągi drzewa. Opał. Znad dachu czuwają anteny radiowe. Całkiem dostojnie prezentuje się prowincja fińska.

Do starej stolicy kraju, do Turku, jedzie się autobusem, parę godzin. Turku po fińsku, Abo po szwedzku — jest najstarszym miastem Finlandii, założonym w roku 1229. Stolicą było do początków 19 stulecia. W murach zamku w Turku, będących obecnie muzeum historycznym, rezydował w 16 wieku późniejszy król Szwecji, Jan III Waza, ze swą żoną, Katarzyną Jagiellonką, siostrą naszego Zygmunta Augusta. Turku ma dwa Uniwersytety, ze szwedzkim i z fińskim językiem wykładowym. Szczęści się najwspanialszą katedrą kraju, zawiera mnóstwo pomników, wystawionych dla uczczenia zasłużonych dla Finlandii mężów. Jest to miasto pełne historii i zarazem nowoczesności. Obok zabytków, dźwięgających na sobie ciężar stuleci, jak katedra czy zamek, masz tuż obok i wciąż budujące się nowe gmachy ponad osmiopiętrowe. Promieniuje stąd życie naukowe i kulturalne. Zasluga dwu uniwersytetów niewątpliwa. Pracuje tutaj ruchliwy port i stocznie okrętowe. Turku ma najkrótsze połączenie morzem na

Rada SPK potępiła p. Wańkowicza za reżymowe „Monte Cassino“

Szczególną wagę ma wreszcie uchwała SPK w sprawie reżymowego wydania książki „Monte Cassino“. Czytelnikom „Orla Białego“ nie potrzeba szerzej wyjaśniać ani przypominać tej sprawy, ponieważ nasze właśnie pismo pierwsze ją poruszyło i w szeregu artykułów uzasadniało tezę, poparte obecnie przez centralną władzę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Stojąc „na straży tradycji żołnierskich“ i stwierdzając, że „Monte Cassino“, jako powstałe sumptem 2 Korpusu, jest „własnością moralną całego społeczeństwa“ i nie powinno być dysponowane, wbrew ideałom żołnierskiej tradycji — uchwała potępiła p. Wańkowicza za zgodę na zmiany jej tekstu „według życzeń władz komunistycznych“.

Stanowisko to naczelnej władzy SPK jest tym ważniejsze, że poprzednio jedno z kół teje organizacji, mianowicie w Nowym Jorku, do którego p. Wańkowicz się odwołał po zarzutach, postawionych mu na łamach „Orla Białego“ w tej sprawie, powzięło — poprzez wyłonioną w tym celu specjalną komisję — rezolucję częściowo mu przychylną. Stwierdzając mianowicie, że wydanie reżymowe „niczym nie narusza moralnych praw p. Wańkowicza należących do SPK“. Za to orzeczenie spotkała jego autorów seria pochwał w komunistycznych czasopiśmie reżymowych, które wyrażały z tej okazji nadzieję, że nowojorska opinia oznacza jakiś zwrot w niepodległościowej ideologii kombatantkiej. Tymczasem okazało się, że był to występ wyjątkowy i jedynie potwierdzający regułę stanowiska przeciwnego. Obecnie uchwała Rady SPK dała wyraz stanowczy i istotnej postawie kombatantkiej w tej sprawie samocenzury autorskiej na komunistyczne zamówienie.

Uparte, zagadkowe milczenie na temat owego smutnego proceduru autorskiego, zachowuje dotąd wciąż jedynie organizacja, zdawałoby się najbardziej powołana do zabrania głosu: londyński Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Miejmy nadzieję, że milczenie to nie oznacza aprobaty dla p. Wańkowicza ani zachęty dla innych pisarzy.

ANDRZEJ TOMICKI

WNIOSE

WYNIKI referendum w sprawie konstytucji we Francji i w sprawie zmiany sposobu powiązania z nią krajów zamorskich zadziwiły zarówno licznym udziałem wyborców jak też ilością głosów (prawie 80 proc.), które się opowiedziały za projektem, przedłożonym przez rząd gen. de Gaulle'a. Triumf jego jest wielki i sprawił wszystkim przyjacielom Francji niekłamana radość. Naród francuski powiedział w głosowaniu wyraźnie, że dosyć ma bezholowia i anarchii, w które pograżyły Francję ustroj i obyczaje polityczne Czwartej Republiki.

Prasa codzienna zanalizowała już wszechstronnie wyniki głosowania, przytaczając i omawiając obszernie poszczególne cyfry. Słusznie zwrócono między innymi uwagę, że wielka ilość Francuzów, która dotychczas głosowała na komunistów, nie posłuchała wezwania przywódców tej partii, nawołujących do dania odpowiedzi negatywnej — i głosowała „tak“. Okazało się — co już nieraz podkreślaliśmy — że duży procent głosów komunistycznych, oddawanych przy rozmaitych wyborach na kandydatów komunistycznych, to wcale nie głosy przekonanych komunistów, ale że po prostu wielu Franuzów wyrażało w ten sposób swoje niezadowolone z istniejących stosunków. Gdy zobaczyli, że mogą te stosunki potępić w inny, pozytywny sposób, uczynili to bez wahania w nadziei, że nastąpi zmiana. Ten dowód, że komunizm jako taki nie posiada dla mas siły przyciągającej, jest bardzo cenny i charakterystyczny.

Drugim objawem bardzo ciekawym — i mniej na ogół podkreślanym — jest stwierdzenie, jak mały w rzeczywistości wpływ posiadają w masach poszczególne grupy polityczne a ściślej się wyrażając, rozmaici zawodowi politycy. Była ich przecież cała paczka — i to bardzo znanych — którzy groźnie zapowiadali swoje „nie“ — z tym wynikiem, że właśnie w ich okręgach głosujących powiedzieli w ogromnej większości „tak“. Niektórzy z tych

LISTY Z FINLANDII (2)

Kraj 6000 jezior

Sztokholm. Powracając zaś do nowoczesnej architektury, w której Finowie stali się uznanymi przez świat fachowy wybitnymi koryfeuszami — mamy w Turku Kaplicę Zmartwychwstania, dzieło prof. Eryka Bryggmana, jak najbardziej godny widzenia przykład nowoczesnej sztuki architektonicznej. Architektę z całego świata przyjeżdżają do Turku, aby przede wszystkim pięknym Kaplicy Zmartwychwstania.

Tampere, drugie ponad stutysięczne miasto Finlandii, jest dużym ośrodkiem przemysłowym, położonym w prześlicznej okolicy, pomiędzy jeziorami. Jest ono siedzibą przemysłu włókienniczego, zainicjowanego przez Anglika, nazwiskiem Finlayson, w minionym stuleciu. Miasto ma 200 fabryk. W Tampere rozpoczął się niegdyś ruch emancypacyjny kobiet fińskich wszczęty w zeszłym stuleciu przez pisarkę, Minnę Canth. Pobyt Lenina w mieście upamiętniono tablicą. Widzimy, że jest to miasto ważne nie tylko dla Finów, ale i dla bolszewików.

Powracając z Tampere do Helsinek należy po drodze wsiąść z pociągu w miejscowości bardzo sędziwej historycznie, a brzmiącej po fińsku nader melodyjnie: Hämeenlinna. Jak wszędzie w Finlandii, tak i tu mamy zwierciadło jeziora. Miasteczko jest pełne starego czasu; parterowe domki, zabytkowy zamek obok osmiopiętrowych kamienic nowoczesnych. Tutaj urodził się wielki kompozytor, Jan Sibelius. Na domach, związanych z dzieciństwem i latami szkolnymi Sibeliusa umieszczono tablice pamiątkowe. W pobliżu zaś gaj brzozowy jest trwałszą pamiątką jako Park Sibeliusa. Hämeenlinna żyje Sibeliusem.

Hämeenlinna po fińsku, a po szwedzku: Tavastehus, była okolicą zamieszkałą od najdawniejszych czasów. Znalezione tutaj stare pogańskie kamienie ofiarne. Tutaj zbudowano, w roku 1862, pierwszą kolej w Finlandii, łączącą Hämeenlinnę z Helsinkami. Miasto szczęści się nie tylko Sibeliusowi. Wydało ono wielu wybitnych Finów. Wymienić należy największego poetę narodowego, Eino Leino. Elias Lönnrot, ten, co uporządkował narodowy epos Kalevala — również stąd pochodził.

Abym dostać się w sam gąszcz, do wnętrza jeziora — trzeba w Helsinkach wsiąść do pociągu, który łączy stolicę z Savonlinną. Po nocy w pociągu — rano wita podróżnego Lapeenranta, obecnie główne miasto fińskiej Karelii, po przymusowych ustępstwach terytorialnych na rzecz Sowietów w roku 1945. Granica sowiecka jest bardzo blisko. Z okien pociągu widać wielozębną tablicę ostrzegawczą, informującą o tym, że opodal, w sąsiednim lesie, przebiega granica. Wiele też w tej części kraju cmentarzy wojennych.

Wreszcie ukazuje się miasto Savonlinna, położone nad największym jeziorem Finlandii, Saimaa. A to nie tylko najrozleglejsze jezioro kraju, ale i soczewka dróg wodnych we wszelkich kierunkach. Stąd, woda, można dostać się ku południowi na Helsinki, na wschód do Joensuu, czy na północny zachód, do Kuopio. Mieścina niewielka. Jezioro pełne statków, kaczek i łodzi. Na jednej z sąsiednich wysp znajduje się źródło wody mineralnej, dobre dla kuracji reumatycznej. Na innej — wznosi się wieżami pod niebo zamczysko. Olavinlinna. Zwiedza je corocznie podobno 100.000 turystów. O dużym zaś znaczeniu tutejszych dróg wodnych świadczy wybudowanie pierwszego fińskiego statku parowego w roku 1833 w pobliskiej stoczni. Puhos.

W ŚRODKU Finlandii turyście trochę trudno rozmawiać z miejscową ludnością. Na ogół, na pytania stawiane w jakimkolwiek obcym języku, pada uśmiech, z uśmiechem odpowiedź, nie pozostawiająca wątpliwości: — *Nem puhu!*

Napotkasz jednak zawsze dobrą wolę, uczynność i niezwykłą uprzejmość. Cudzoziemiec, tutaj jest rzeczywiście miłym gościem, a Polak — jak się sam przekonasz, budzi szacunek. Naszą historię, zna niezgorzej. Przekonasz się o tym sam, kiedy natkniesz się na Fina mówiącego któryś z międzynarodowych języków. Jeżeli jezioro nazywa się: Haukivesi, Suavasvesi, Kallavesi — oznacza to, że w użyciu są nazwy pochodzenia

fińskiego. Nadane zostały w następstwie osiedleńczego procesu Finów, idących na wschód i północ z południa. Gdy zaś nazywa się: Kermajärvi, Juojärvi — świadczy to, że tutaj dawniej siedziała ludność lapońska, która dzisiaj znalazła się na dalekiej północy, za kregiem polarnym. Ponieważ znajdujemy nazwy jezior z lapońskim zakończeniem na przedpolu Helsinek, jest jasnym, że bardzo dawno, najdawniej, tutejsze okolice zamieszkiwała ludność lapońska. Ludność to po dziś dzień pasterska, gdy Finowie dawno stali się myśliwymi, rybakami, drwalami, bartnikami i rolnikami. W tych dwu końcówkach strzeżać się najwięcej historia Finlandii, mającej za sobą dziejów grubo więcej niż dwa tysiące lat!

Od tych rozważań przygodnych na tematy historyczno-filologiczne przejdźmy do malowniczej, może jednej z najbardziej malowniczych dróg wodnych w Europie.

Trzeba rano, no nie tak znów wczesnie, około 10, znaleźć się na jednym ze statków, które opuszczają Savonlinnę w różnych kierunkach. Podróż trwa bezmała dwanaście godzin. Zdradzam: autor tego listu popłynął statkiem „Heinävesi I“ na północny zachód.

Szlak wodny z Savonlinny do Kuopio jest długi i jako podróż, i jako miara czasu. Biegnie jeziorami, wzdłuż wysp i wysep, kanałami, słuzami. Płynięcie się nurtem jakby samomoczącej wody, między zielenią lasów, a niebem, odbitym w tafli wód. Mijają ciągi długich tratw zbitych z pni drzewnych, holowane przez małych rozmiarów stateczki. W głąsy leśnej natrafia się na samotne glazy, na sągi drzewne, przygotowane do transportu. Natrafia się na pojedyncze domki, i na rozrzucone drewniane osiedla. Niekiedy mijają się małe domeczki, również z drzewa, po których widać, że używane są jedynie raz w roku, latem, na wakacje ludzi miejskich. Najczęściej jednak wzrok zahacza o sągi porąbanego, ułożonego kłocami, drzewa, przesychniętego na wietrze. W pewnym punkcie statek dobiega do brzegu, by pobrać w swoje czeluście opałow brzozię. Tylko nad jeziorami Finlandii tak w słońcu pachnie żywica brzozina.

FRANCUSKI Z TRIUMFU

polityków wyciągnęli nawet z tego wnioski, składając swoje godności. Okazało się, że naród francuski — co zresztą również podkreślaliśmy — nie chce nic wiedzieć o tych tysiącnych grach i gierkach, uprawianych przez zawodowych polityków w kuluarach „Palais Bourbon“ (gmach parlamentu francuskiego). Od długiego już czasu naród francuski w grach tych nie brał — poza niesmakiem — żadnego uczuciowego udziału. Przeszły go one interesować. Ludzie, którzy je prowadzili, czuli się ważni tylko we własnych oczach. Przeciwny Francuz spoglądał na nich z lekceważeniem. Piszący te słowa mógł to często stwierdzić w rozmowach nawet przygodnych z tak zwanymi „szarymi ludźmi“ w Paryżu.

Był to jednak bardzo niebezpieczny objaw. Demokracja powinna się przeciw odznaczać bliskimi i licznymi powiązaniem między przywódcami i szerokimi rzeszami narodu. A tymczasem nastąpiło we Francji w ten sposób oddzielenie się warstwy zawodowych polityków od narodu. Dzięki temu polityka francuska zaczęła się obracać na nierealnym poziomie — i wrodzić. Najwidoczniejszym skutkiem tego stanu rzeczy był jej postępujący szybki paraliż. W głosowaniu z dnia 28 września naród francuski zrzucił z siebie tę kostniejącą i anemiczną już skorupę polityczną, która powołując się wprawdzie na szerokie masy, naprawdę kontakt z nimi straciła. Dzisiaj nawiązane zostało dzięki głosowaniu na nową konstytucję znowu połączenie między rządzącymi i rządzonymi. Wydaje nam się, że jest to jeden z najważniejszych wyników dnia 28 września.

* * *

Z tym wszystkim byłoby lekkomyślnością uważać, że dzień 28 września wszystko albo nawet wielką część istniejących zagadnień załatwił. To się nie stało i stać się nie mogło. Stworzył on dopiero podstawę na której można będzie budować i usunął prze-

szkody, które dotychczas po prostu uniemożliwiały prowadzenie rozsądnej, logicznej i celowej polityki. Same zagadnienia jednak pozostały i przede wszystkim pozostało życie, które wy-sunąć będzie — jak zawsze — coraz to: nowe trudności względnie zmieniając się zagadnienia już istniejące i nadawać im inne oblicze. Weźmy na przykład chociażby sprawę afrykańską. W tej dziedzinie została dopiero otwarta droga do bardzo śmiałych rozwiązań. Ale jakie one będą i jaki będzie ich rozwój? Co dadzą w wyniku ostatecznym niezwykłe odważne kroki, o których niewątpliwie myśli gen. de Gaulle i dla których już rzucił pewne, aczkolwiek jeszcze bardzo ogólne linie wytyczne? Ze drogi, na które w tej sprawie wejść zamierza, są rewolucyjną w stosunku do niedawnej jeszcze przeszłości a nawet teraźniejszości, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Czy jednak wobec zupełnie ślepej ulicy, w której się te sprawy ostatnio znalazły, zwykłe drogi mogłyby przynieść jakieś rozwiązanie? Na pewno nie! I tu znowu należy powiedzieć: Głosowanie z dnia 28 września stworzyło podstawę do nowych śmiałych rozwiązań dlatego, że zasadniczo zrywa wprawdzie nie z tradycją francuską, ale za to z bezpośrednią bezpłodną przeszłością. O ile z dotychczasowych oświadczeń gen. de Gaulle do-brze wnioskujemy, próba rozwiązania zagadnienia afrykańskiego będzie niezmiernie odważnym krokiem na drodze liberalnej i wolnościowej. Byłoby to zgodne z tradycją geniuszu francuskiego i mogłoby się stać początkiem zupełnie nowego uporządkowania wzajemnych stosunków między kontynentami, rasami ludzkimi i narodami.

Czy to się uda? Przypniemy się, że z palącym zainteresowaniem śledzimy i śledzić będziemy rozwój tej sprawy. Jest to „gra na tezę“, że dobowolne, ale wynikające z wzajemnych interesów powiązania okazały się silniejszym środkiem łączności niż panowanie za pomocą siły.

Wprawdzie gra ta jest dzisiaj konieczna, skoro panowanie za pomocą siły okazało się i okazuje w dzisiejszym układzie stosunków niemożliwe — na razie co prawda tylko na Zachodzie. Pomimo to jednak samo wyciągnięcie wniosków z takiego stanu rzeczy jest już dowodem odwagi, jak w ogóle zawsze jest dowodem odwagi uznanie rzeczywistości i dostosowanie się do niej, ażeby w ten sposób stworzyć — rzeczywistość nową!

Udanie się tej polityki, której już widać zarysy, może mieć ogromne skutki nie tylko na Zachodzie i w Afryce, lecz również na Wschodzie, chociaż może w dalszej dopiero przyszłości. Albowiem, cokolwiek by o tym mówiono i pisano, świat jest jeden i na dłuższą metę przeciąć go na dwie połowy nie można.

* * *

Powiedzieliśmy, że głosowanie z dnia 28 września stworzyło dopiero podstawę pod możliwość powstania i ukształtowania się nowej polityki francuskiej, ale że samo w sobie jeszcze ta polityka nie jest i być zresztą nie może. Jeżeli dzień 28 września był dniem triumfu i świętem, to obecnie przyjdą, bo przyjdą muszą, dni powszednie, dni ciężkiej i trudnej pracy i wysiłków. Nie wolno zapominać, że Francję czekają jeszcze wybory do parlamentu, które odbędą się, jak już wiemy, w drugiej połowie listopada. One dopiero stworzą narzędzie, które umożliwi ciągłość pracy politycznej, konieczną dla uzyskania triumfu z dnia 28 września. Od tego, jakie będą

(Dokończenie na str. 8)

KRONIKA WOJSKOWA

AMERYKA POŁUDNIOWA I ŚRODKOWA. Bodaj już od kilku lat nie wspominałem w Kronikach Wojskowych o tej rozległej, lądnej i dość bogatej w surowce części świata. Nie wspominałem o niej, bo, poza bardzo licznymi przewrotami, w których siły zbrojne odgrywały przeważnie najbardziej aktywną rolę, oraz poza na ogół krótkotrwałymi konfliktami granicznymi, było bardzo mało wydarzeń i zmian natury wojskowej, zasługujących na komentarz. Ponieważ jednak większość państw i państweczek tego rejonu związana jest takim czy innym paktem z Stanami Zjednoczonymi Ameryki, warto choćby z grubsza zapoznać się z ich potencjałami militarnymi i gospodarczymi.

Siły zbrojne państw tego półkontynentu nie są na ogół ani liczebnie, ani jakościowo silne. Najważniejszą przedstawiają się aktywne siły zbrojne Argentyny (około 150.000) i Brazylii (nieco ponad 100.000). Siły pozostałych państw są bądź nieliczne, bądź przedpotopowo uzbrojone, bądź słabo wyposażone, bądź nadmiernie rozpolitykowane. Rozpolitykowanie obniża również wartość argentyńskich sił zbrojnych, składających się zbrojonych i wyszkolonych. Z tego powodu największą wartość przedstawiają chyba brazylijskie. Tym bardziej, że jedynie w Brazylii rezerwiści pociągani są do ćwiczeń i że współpraca Brazylii ze Stanami Zjednoczonymi jest daleko ściślejsza niż Argentyny.

Jeszcze słabiej niż wojska lądowe państw tego półkontynentu przedstawiają się ich siły powietrzne, bo zaledwie kilka z nich przystąpiło w ostatnich latach do unowocześnienia ich sprzętu. Brak własnego przemysłu zbrojeniowego, a lotniczego w szczególności, tudzież szczupłość środków pieniężnych i brak bezpośredniego zagrożenia uniemożliwiają oczywiście szybkie tempo modernizacji czy rozbudowy.

Daleko okazałoby, choć też niewowocześnie, przedstawiając siły morskie. Największe floty wojenne posiadają Argentyna, Brazylia i Chile. Argentyna ma 2 stare pancerniki, 1 pobrytyjski mały lotniskowiec, 4 przedwojenne krążowniki, 15 starych torpedowców, 9 stunkowo nowych fregat, 3 przedwojenne okręty podwodne itd. Brazylia ma 1 lotniskowiec, 2 krążowniki po 9.700 ton, 9 torpedowców, wybudowanych podczas ostatniej wojny lub bezpośrednio po niej 8 fregat z okresu ostatniej wojny i 3 przedwojenne okręty podwodne. Chile ma 1 stary pancernik, 2 przedwojenne krążowniki po 10.000 ton, 6 przedwojennych torpedowców, 2 powojenne niszczyciele, 6 fregat z okresu ostatniej wojny oraz 3 duże i 4 przybrzeżne okręty podwodne. Pozostałe państwa i państweczka posiadają maksymalnie po kilka starych torpedowców i po kilka fregat z okresu wojny. Jedynie Wenezuela ma kilka nowoczesnych niszczycieli (2) oraz fregat (4), a Peru posiada prócz 8 starych torpedowców i fregat 6 małych okrętów podwodnych. W sumie państwa opisywanego rejonu posiadają obecnie 3 przedpotopowe pancerniki, 2 lotniskowce, 8 krążowników, 46 torpedowców i niszczycieli, 62 fregaty i 17 okrętów podwodnych, nie mówiąc o korwetach, kanonierkach, poławiaczach i stawiaczach min itd. Tym samym ich floty mogłyby znów odegrać poważną rolę w zwalczaniu niebezpieczeństwa okrętów podwodnych, jak odgrywały podczas II wojny światowej. Jeżeli idzie o floty handlowe, to tylko Argentyna posiada tonaż przekraczający milion ton, a Brazylia i Costa Rica ponad 500.000 ton. Nie wspominać o Panamie, choć pod jej flagą pływają tonaż handlowy przekraczający 1 miliony ton, bo statki „panamskie“ należą w lwiej części do obcych armatorów. Wydajność stoczni południowo-amerykańskich przedstawia się jeszcze bardzo skromnie, choć pewna poprawa w tej dziedzinie ostatnio nastąpiła.

Za to produkcja hodowlana i surowcowa Ameryki Południowej jest dla wolnego świata bardzo ważna. W dziedzinie surowców mineralnych zwłaszcza produkcja Brazylii, Chile, Boliwii, Meksyku, Guatemali i Argentyny, a w dziedzinie wydobycia ropy Wenezueli.

Dość znaczną rolę odegrać by mógł także wcale poważny rezerwuuar ludzki tego półkontynentu, choć jego jakość jest częściowo nieszczerłonna. W sumie państwa i państweczka tego rejonu mają już przeszło 170 milionów ludności, mianowicie Brazylia 58 milionów, Meksyk 30, Argentyna 20, Kolumbia 12, Peru ponad 9, Chile 7, Kuba i Wenezuela po 6, a pozostałe państweczka od 1 do 4 milionów. Ludność niemal wszystkich krajów tego rejonu jest wprawdzie niemal w stu procentach rzymsko-katolicka, ale pod względem pochodzenia chyba bardziej mieszana niż w jakiegokolwiek innej części świata. Ludność biała, przeważnie hiszpańskiego (w Brazylii portugalskiego) pochodzenia, stanowi absolutną większość tylko w Urugwaju (98 proc.), w Argentynie (91 proc.), w Chile i Costa Rica (po 80 proc.), oraz niemal połowę ludności w Brazylii i na Kubie (po 45 proc.). W pozostałych krajach stanowią zaledwie od 1 proc. do 20 proc. Murzyni stanowią 95 proc. ludności Haiti, przytaczającą większość brytyjskich Indii Zachodnich i od 19 proc. do 24 proc. ludności San Domingo i Kuby. Ludność indiańska stanowi większość w Paragwaju, Gujanie, Salwadorze, Ekwadorze, Guatemali i Boliwii, 46 proc. w Peru, 29 proc. w Meksyku i do 25 proc. w Nicaragu. Mieszkańcy (Metysi, Mulaci lub Zambezi) stanowią absolutną większość w Hondurasie (86 proc.), w Wenezueli (81 proc.), Kolumbii, Panamie, Nicaragu i San Domingo (ponad 60 proc.), oraz w Meksyku (55 proc.). Sporo ich także w Peru, Boliwii, Brazylii, Guatemali i Ekwadorze.

Kage.

ORYGINALNA

WÓDKA Smirnowa



65.5° PROOF 35/6
80° PROOF 43/-

BUTELKA (½ LITRA)

Butelkowana w Londynie

Do nabycia we wszystkich składach win, klubach, restauracjach

MIEDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Lady Docker bohaterka różnych niezwykłych przygód i stała powód zakłopotania prasy brytyjskiej przypominała się znowu publiczności w sposób tym razem pośredni. Ani ona bowiem ani jej małżonek nie uczynili tym razem niczego, co by pocziwie ciotki, pijące herbatę w niedzielne popołudnie, mogły określić słowem „shocking“.

Istnienie ich przypominał natomiast światu premier niepodległej od niedawna Gany, znanej nam lepiej pod starą „kolonialną“ nazwą Złotego Wybrzeża. P. N'Krumah postanowił bowiem kupić sławny jacht państwa Dockerów za skromną cenę 500 tysięcy funtów. Pieniądze na ten cel mają się znaleźć w funduszu inwestycyjnym afrykańskiego państwa. Inwestycja jachtowa ma podległe przeznaczeniu. Po pierwsze ma podnieść prestiż Gany i jej premiera, po wtóre zaś jacht ma być użyty jako statek szkolny dla przyszłych adeptów marynarki ganejskiej, dotychczas jeszcze nie stworzonej.

W okresie gdy tyle się mówi o konieczności lożenia środków na pomoc dla „krajów niedorozwiniętych gospodarczo“ należałoby także pomyśleć o potrzebach premierów „niedorozwiniętych prestiżowo“.

Zmierzch kina?

Koncern Ranka w W. Brytanii postanowił zamknąć dalszych osiemdziesiąt kinoteatrów. Nowe potwierdzenie faktu, że przemysł filmowy na całym świecie przechodzi ciężki kryzys. Budzi on także panikę wśród aktorów, dla których czasy bajonich wynagrodzeń mijają, może bezpowrotnie.

Nie należy jednak mylić dwóch różnych rzeczy ze sobą. Kryzys przemysłu filmowego wcale nie jest kryzysem sztuki filmowej. Być może znikną z powierzchni ziemi postacie „tytanów“ hollywoodzkich (przymiotnik jest tutaj użyty symbolicznie) dla których film był ogromną wyżymaczką służącą do wyekspansji pieniędzy z milionowych rzesz potulnych widzów. Szesćdziesiąt lat istnienia kina stworzyło jednak nową sztukę. Kto miał w tym względzie jakiegokolwiek wątpliwości niech się przestanie, gdy się dowie o uchwaleniu kongresu historyków sztuki filmowej.

Historycy sztuki filmowej

Kongres odbył się w Brukseli jako jedna z imprez związanych dość zresztą luźno z dobiegającą swego końca światową wystawą. W pięknej „Hali Göttyckiej“ ratusza na Grand' Place brukselskim zebrali się 117 historyków filmu reprezentujących 26 krajów. Ich listę poddało dokładnej weryfikacji międzynarodowe Biuro Studiów Historycznych nad Filmem. Jest więc i takie. Przygotowania do kongresu trwały dziesięć miesięcy. Głównym punktem agendy było przegło-

sowanie kolejności 12 najlepszych filmów jakie w ogóle kiedykolwiek powstały, oraz wybór dwunastu najlepszych spośród żywych i zmarłych reżyserów. Nie sam pomysł głosowania wydaje się dziwny, lecz zdumienie ognia na widok jego rezultatów. Tak bowiem daleko odbiega od wszystkich sądów krytyków i publiczności.

Historycy filmu wzięli bowiem pod uwagę tylko sztukę w czystym sensie tego słowa. Wystarczy sprawdzić daty powstania wyróżnionych dwunastu filmów. Cyfry w nawiasie oznaczają ilość głosów spośród 117 uczestników.

1. „Potiomkin“ z r. 1925, reż. S. M. Eisenstein (100). 2. „Gorączka złota“ z r. 1925, reż. Charlie Chaplina (85). 3. „Złodziej Rowerów“ z r. 1948, reż. V. de Sica (85). 4. Joanna d'Arc z r. 1928 (więcej nie później, „lepsze“ Joanny), reż. Carl Dreyera (78). 5. „La Grande Illusion“ z r. 1937, reż. Jean Renoir (72). „Cchiwość“, reż. Ericha v. Stroheima z r. 1923 (71). 7. „Intolerance“, reż. D. W. Griffitha z r. 1916 (61). 8. „Mat“ z r. 1914 (50). 9. „Zemla“, reż. Ar. Dowlchenko z r. 1930 (47). 11. „Der Letzte Man“ z r. 1924 (47). 12. „Gabinet Doktora Caligari“ z r. 1919, reż. R. Wiene (43).

Oczywiście można mieć poważne wątpliwości co do werdyktu uczonych historyków. Sąd ich wydaje się raczej krańcowy, daleki bowiem pierwszeństwo filmom t. zw. psychologicznym, które nie są najlepszym przykładem twórczości filmowej. Niemniej daty powstania filmów wyróżnionych dają wiele do myślenia. Technika nie zastępuje sztuki, choć jest jej najważniejszym sprzymierzeńcem.

„Glamour“

Należy wnosić, że film przybliżył się do teatru w tym przynajmniej sensie, iż karyera aktorska stanie się powołaniem zamiast być ekskibicjonizmem. O losy filmu nie ma się co bać. Wz bogaci się o dalsze możliwości techniczne i znajdzie swe miejsce pod słońcem, czyli swe materialne podstawy istnienia, w telewizji.

Gdyby przy tej okazji zaniknęła instytucja t. zw. „gwiazd“, to nie byłoby to proces zupełnie nowy. Teatr europejski z końca siedemnastego wieku na przykład i później przypominał żywo stosunki „gwiazdowe“. Długo trwał im popularność aktorki przestała być odpowiednikiem popularności renesansowej kurtizany. Z tym tylko, że grono jej wielbicieli z wyłączeniem nielicznej grupy „wybranych“ mogło ją wielbić jedynie w teorii.

Stać się aktorką filmową czyli gwiazdą było marzeniem każdej przedsiębiorczej i jaką taką urodą obdarzonej dziewczyny. Nie pociągala sztuka, gra i nie miał w umyśle przemożny talent. Wabikiem była popularność, „luksusowe życie“, gromady wielbicieli, świat bajki nie na ekranie, lecz na codzień. Wszystko co język angielski określa słowem „glamour“, które nie ma polskiego odpowiednika, choć staromodnie i także obce słowo „blichtr“ w niejednym oddaje jego sens i znaczenie.

Lecz „glamour“ ma także i jasniejszą, zdrowszą stronę medalu, nie tylko ekskibicjonizm i umiłowanie blichtru. Z biegiem czasu, z przeobrażeniami pojęć, określenie nabiera nowej treści. Może jest w tym wpływ zrozumienia piękna ciała ludzkiego i uroku zdrowia. W tym wypadku byłoby zbawienny wpływ sportu pod którego znakiem wychowuje się już czwarte bodaj pokolenie ludzi cywilizowanych. Słowo „glamour“ obojętnie jak je przetłumaczyć, ma dźwięk grzeszny tylko w społeczeństwach purytańskich. Nie będzie w ogóle nie znaczący w społeczeństwie naprawdę pogańskim. Jakże chciał stworzyć Hitler i jakie stworzył komunizm. Z tej prostej przyczyny, że bez odrobiny ducha, bez uśmiechu i radości, piękno fizyczne przedstawicieli rodzaju ludzkiego niczym się nie różni od urody krowy na pastwisku lub rpy na półnisku.

Kazimierz Schleyen

J. P. H.

BRIDŻOWE MISTRZOSTWA EUROPY

Popularność bridża wzrosła w Polsce w ostatnich latach do niebywałych rozmiarów. Przeszedłszy na zapis międzynarodowy nazwano to bridżem sportowym. Jest on istotnie traktowany jak sport, bo ujęty w ramy organizacyjne drużyn, lig różnych klas, rozgrywanymi między sobą turniejami lokalnymi, międzypaństwowymi i państwowymi. Nasze wrodzone zdolności i szerokie masy zawodników budzą nadzieję, że w niedługim czasie Polacy odegrają poważną rolę na międzynarodowej arenie.

Mistrzostwa bridżowe Europy na rok 1958 odbyły się w ubiegłym miesiącu w stolicy Norwegii. Polska zgłosiła oficjalnie swój udział, lecz zespół polski nie przybył, podobno z powodu trudności finansowych. Nie zjawili się również zło-

szeni przedstawiciele Libanu oraz Szwajcarii i według przepisu przyznano zwycięskie punkty na niekorzyść nieobecnych państw.

Turniej polega na tym, że każde państwo gra z każdym serię gier. Ocena jest sprawiedliwa, bo to co para jednej narodowości rozgrywa w jednym pokole, to w drugim para tej narodowości otrzymuje karty przeciwników. Wygrana ostateczna przynosi dwa punkty, remis jeden. Do zawodów stanęło piętnaście państw europejskich. Mistrzostwo Europy zdobyła trzeci rok z rzędu wspaniała drużyna włoska z pref. Chiaradia na czele. Od dwóch lat dzierżą on również tytuł mistrza świata pobijwszy dwukrotnie mistrzowską drużynę Ameryki. Świetna drużyna angielska odniosła

wielki sukces nie tylko zajmując drugie miejsce, lecz uzyskując tę samą ilość 30 punktów co Włosi, przegrywając zaledwie gorszą różnicą międzynarodowych punktów poszczególnych rozgrywek jakby gorszą różnicą bramek w piłce nożnej. Trzecie miejsce zajęła niżej wodna drużyna francuska ulegając zaledwie jednym punktem.

Równocześnie odbywały się doroczne mistrzostwa Europy pań. Pierwsze miejsce zajęły Dunki, drugie Szwedki. Reprezentowanych było 11 państw i wielkie rozczarowanie przyniosła angielska drużyna faworyzowana na mistrzowski tytuł. Angielki zajęły zaledwie siódme miejsce.

J. GNIAZDOWSKI

Cudotwórca z Imoli

(Od własnego korespondenta)

Rzym, we wrześniu.

W STOSUNKOWO młodej jeszcze po niedawnych wyborach koalicji rządowej Chrześcijańskiej Demokracji z socjal demokratami, tak jak w małżeństwie zawartym z rozsądku w braku lepszej partii, doszło już do pierwszej większej sceny po krótkim okresie miodowym w czasie wakacji letnich. Rozeszło się o sprawę, która przez długi jeszcze czas będzie zajmować opinię publiczną, mianowicie sprawę Giuffre czyli Banku anonimowego, tak jak w poprzedniej kadencji parlamentarnej zaciemniała horyzont polityczny sprawą Montesi.

Urzędnik filii prowincjonalnej pewnego banku, Giuffre ok. r. 1948 przechodzi na emeryturę i postanawia na własną rękę wyzyskać nabyte umiejętności i skłonności.

Kraj po wojnie był wyczerpany z kapitałów, a uculane miliony prywatne, często w dolarach, były zaszyte w materacach. Wieczał o tym dobrze Giuffre. Natknął się on przy tym na paru księży, których trawilo pragnienie podniesienia materialnego ich parafii, zaopatrzenia pewnych dobroczynnych instytucji, ale nie posiadali na to funduszy. Sprytny bankier wziął się do dzieła. Wziął „w administrację” drobne fundusiki, którymi dysponowali ci księża, a po roku zwrócił je, powiększone o 60 i więcej procent. Otrzymał je na dalszy rok z prośbą o „administrowanie” nimi.

Stało się to przynętą dla parafian z zakopanymi milionami, którzy za pośrednictwem proboszcza zaczęli oddawać „w administrację” swe oszczędności. Wkrótce też pobogacili się, a „administrator” podejmował się własnym sumptem z lichwiarskich zysków z obrotu kapitałami naprawiać i wznosić kościoły, dzwonnice, przytulki itp. Po dokonaniu takiego dzieła następowało wmurowanie tablicy dziękczynnej, fotografowanie obiektu, wydanie pamiątkowej broszury (żądania z nich jednak nie miała aprobaty władz duchownych). Fotografie i broszury szły następnie zagranicę z prośbą o datki na dalsze instytucje dobroczynne, albo o pożyczki inwestycyjne na wzniesienie tych instytucji, oczywiście na wysoki procent. Giuffre stał się więc niejaką poborcą ofiar i pożyczek na te inwestycje na rzecz osób trzecich.

W ciągu 10 lat wybudowano tego rodzaju obiektów — sam Giuffre tak utrzymuje — na sumę ok. 30 miliardów lirów, z czego 15 miliardów napłynęło z oceanu, przeważnie od emigrantów włoskich, zawsze czujących na sprawy podniesienia ich miejsc pochodzenia. Wysokosc kapitałów, którymi w tym okresie operował pokątny bankier, sięgała od 40 do 50 miliardów. Minister skarbu Preti oznajmił, że na podstawie niekompletnych materiałów wynika, iż co najmniej kilkaset milionów lirów należy się od Giuffre z tytułu niezapłaconego podatku obrotowego (3 proc.), co podwojone z tytułu kary „o wiele przewyższy miliard lirów”.

Szydłem ochronnym była więc akcja dobroczynna o charakterze przeważnie, ale nie wyłącznie, religijnym. Pod tą przykrywką obietnica lichwiarskich procentów, dochodzących do powyżej 60, a niekiedy nawet i 100 proc., skrupulatnie do niedawna wypłacanych, sprawiła, że sprytny anonimowy bankier rozpełzał coś w rodzaju popularnego wędzideła, a tu szczególnie, „łańcucha św. Antoniego”. Żądza łatwego dorobania się była przyczyną tego, że ludzie Giuffre z łatwością zdobywali coraz to nowe wkłady „do administrowania”. I choć rozgłos o tym cudotwórczym pomnażaniu kapitału przekroczył granice państwa, tu na miejscu nikt oczywiście nie leciał z donosem do władz, dopóki krocie nabijały kieszenie chciwych kmiotków i, niestety, nie tylko kmiotków w Romarii, Toskanii, Emilii, aż po dolinę Padu, lecz zagranicznych wierzycieli kredytów „inwestycyjnych”. A Giuffre płacił i to hojnie — przez 10 lat.

Jak to się mogło dziać, że nieraz poszukiwano i ubiegano się o kredyt, nawet za cenę bardzo wysokich odsetek? Niestety zakres działalności banków włoskich jest raczej mocno wężony wobec niedostatecznej ilości płynnych środków obiegowych, a nadto procedura jest długa i uciążliwa, a życie stwarza miliony sytuacji nagłych, w których trzeba nawet ponieść duże ciężary, aby tylko zdobyć gotówkę. Zdobywa się ją na czarnym rynku finansowym.

Dla ilustracji podamy jeden przykład. Co roku poszczególne ministerstwa ogłaszają konkursy na roboty publiczne i inne poprzez przewidziane budżetem na ogólną wartość sięgającą setek miliardów lirów. Przedsiębiorca, który staje do konkursu, musi złożyć kaucję wynoszącą 10 proc. wartości prac, o które się ubiega. Często jest to sprawa terminowa. Bank na te pożyczki nie da, a płynnej gotówki (czasem są to dziesiątki milionów) albo brak albo byłoby szkoda zamrozić ją w kasie państwowej. Opłaci się raczej nieraz wziąć kapitał od lichwiarza. Milion lirów dany na parę tygodni za np. 15 proc., obrócony kilka razy w roku może się nawet podwoić. Nawzajem powszechnie utartą imprezą Giuffre było „Pożycz by podwoić”.

Sprawy zaczęły się nagłe wkręcać. Niektórzy naganiacze bazylijskiego kombinatora uszczelnili sobie po gałęzi z rozwidlonej organizacji i zapragnęli we własnym zakresie stworzyć „łańcuch św. Antoniego”. Już kilka lat temu kurie biskupie ośrodków prowincjonalnych, gdzie panowała się ta bezwstydną aferą, wydały duchowieństwu surowy zakaz wdawania się w jakiegokolwiek interesy z Giuffre, a w roku ub. nawet Watykan zabrał głos w tej sprawie i potępił nieuczynne praktyki. Tu i ówdzie wypłaty zostały wstrzymane i przez masę chciwych spekulantów, a nie „biednych ciulaczów”, jak ich określają komuniści, przeszedł dziki lęk i strach o miliony oddane do „administrowania”.

Banki w prowincjach, w których grasowała szajka naganiaczy Giuffre, stwierdzili zastraszający spadek wkładów i poinformowali o tym ministra finansów Preti, reprezentującego socjal-demokrację w rządzie Fanfaniego. Preti zarządził dochodzenia i poczynił szereg oświadczeń. Jednocześnie organ jego partii „Giustizia” zamieścił artykuł pt. „Miotła”, w którym insynuował, że o sprawach tych nie mógłby nie wiedzieć poprzedni minister finansów, obecny minister skarbu Andreotti z prawicowego ołdaru Ch. D.

Według tego, co pisała prasa, w rządzie zawrzało, ale też szybko nastąpiło opamiętanie się. Okazało się, że artykuł „Miotła” był sprzeczną z wyrażeniami instrukcji przywódcy S. D. Saragata i że opublikował go „przygodkowy” współpracownik, a nie stały członek redakcji. Sam Preti zapewnił Andreotti'ego, że nie ma nic wspólnego ani z tym artykułem, ani nawet z redakcją pisma (gdzie do niedawna był naczelnym redaktorem). Prawie jednocześnie w organie republikańskim „La Voce Repubblicana” pojawiły się wyciągi z jakiegoś, jak zapewniali dzienniki, „sprawdzonego i autentycznego” memoriału, wydrukowanego też w pełniejszym tekście przez radykalizujący i wyspecjalizowany w rozdmuchiwanie skandali tygodnik „Espresso”. Oba te organy razem z „Giustizią” podały też, że pełny dokument jest w posiadaniu ministra finansów.

Dokument rzucał niesamowite oskarżenia, najpierw pod adresem Akcji Katolickiej, utrzymując, że przy udziale prezesa organizacji młodzieżowych Akcji Katolickiej powstała w Rzymie instytucja dla współpracy z Giuffre i dla osłony jego interesów wobec władz i Watykanu. Utrzymywał nadto, jakoby poprzedni minister finansów zarządził wstrzymanie dochodzeń.

Tu już naprawdę zawrzało. Po kole Andreotti nazwał wiadomość oszczerstwem kłamstwem, prezes młodzieżowej Akcji Katolickiej jak najkategoryczniej zaprzeczył, jakoby miał coś do czynienia z pokątnym bankierem, którego nie zna i na oczy nie widział ani jego, ani jego syna. Prezes Akcji Katolickiej Gedda zatelefonował z Kanady, by potępił ten nieuczynny fałsz i oszczerstwo. „Memoriał” z „autentycznego” został przez samego ministra Preti zdegradowany do rzędu apokryfu, fałszerstwa, wymysłu itp. Preti dodał, że na oczy nie podobnego nie widział, ani też nie widział o istnieniu takiego „dokumentu”. Szef biura prasowego w jego gabinecie podał się do dymisji.

Także i z kół Giuffre wszystkie te wiadomości określone zostały jako brednie. Ale podano też, że „ważny oryginalny dokument” nabyty podobno za 10 milionów lirów znajduje się w jego rękach i jest zabezpieczony. Giuffre ujawnił przy tym, że przed wyborami zaczęto nań wywierać presję polityczną. Chodziło, zdaje się, o

W Madrycie zakończył się III Europejski Kongres Koszykówki, w którym wzięli udział reprezentanci 20 krajów europejskich. Powzięto na nim szereg ważnych uchwał, związanych z definitywnym ustaleniem statutów i programów międzynarodowych w tym pięknym sporcie, który od niedawna staje się w Europie drugim co do masowości i zainteresowań, po piłce nożnej.

W pierwszym rzędzie ustalono bogaty program spotkań międzynarodowych na najbliższy rok, aby zając się później organizacją drugiego wydanego Pucharu Europy dla mistrzowskich klubów każdego kraju. Rozgrywki odbywać się będą, jak w roku ubiegłym, najpierw w strefach, które zgrupują kraje położone w sąsiedztwie. W dalszych rundach rozgrywki odbywać się już będą systemem losowania. Wprowadzono, na wniosek Hiszpanii, poprawkę w dotychczasowym statucie, która w wypadkach szczególnych pozwala na rozgrywanie pewnych spotkań na terenie neutralnym. Stało się to w związku z wypadkiem roku ubiegłego, kiedy to Real Madryt, mistrz Hiszpanii, miał spotkanie się w półfinale z mistrzem Rosji Sowieckiej, drużyną lotewską z Rygi. Ponieważ Hiszpania ani nie uznaje oficjalnie Rosji Sowieckiej, ani oczywiście jej zaborów w krajach bałtyckich, czynniki oficjalne nie udzieliły zezwolenia na wyjazd Madrytu do Rygi. Moskwa nie zgodziła się wówczas na rozegranie decydującego spotkania na boisku neutralnym. W rezultacie Madryt został skreślony z turnieju z oczywistą szkoda dla miłośników koszykówki w tym kraju, nie mówiąc już o szkoda materialnych, jakie spowodowała wspomniana sytuacja dla madryckiego klubu. Dzięki nowym postanowieniom sytuacja taka już nie może się powtórzyć.

Po raz pierwszy postanowiono zorganizować rozgrywki Pucharu Europy Kobiet w którym wezmą narazie udział drużyny mistrzowskie Belgii, Niemiec

skierowanie jego „filantropii” w innych kierunkach. Tu jeszcze dwa słowa o Giuffre. Choć liczy tylko 57 lat, cierpi od dawna na serce, miał ostatnio trzy ataki i, jeśli wierzyć temu, co mówią ludzie mu bliscy, dni jego są policzone.

DODAMY kilka bardzo istotnych i bardzo pikantnych szczegółów, tłumaczących niebywały rozkwit anonimowego banku bez okienek. Jest faktem stwierdzonym ponad wszelką wątpliwość, że w prowincjach Imoli, Forli, Bolonii, Ferrarze itd. przeważnie komuniści byli klientami tej imprezy. Korzystali oni często właśnie z miejscowych księży, jako ognia pośredniego, by zapewnić sobie lukratywne, nieuczciwe dochody. Nic im też nie przeszkadzało, że z zysków osiągniętych z obrotów ich kapitałami powstawały instytucje charytatywne (tule i rzeźnia, w której rządzi przywódca organizacji komunistycznej). Teraz lokalne organizacje komunistyczne z całą hipokryzją pomstują na „klerikalnego bankiera”, na duchowieństwo, na władze, żądając, żeby „biedni ciulacze” byli odszkodowani co do grosza! Za co, za bezwzględne uprawianie lichwiarstwa?

A żeby skończyć z memoriałem: Pięcioszpaltowy tytuł na pierwszej stronie w „Il Tempo” z dn. 18 bm. mówi: „Za kulisami afery Giuffre kryła się zawsze spekulacja komunistyczna”, a w podtytuł: „... b. komunistami są prawie wszyscy zamieszani w skandal z „memoriałem”. W tekście dziennik wymienia wśród nich z nazwiska zdymisjonowanego kierownika biura prasowego gabinetu obecnego min. finansów, nazywając go „zbiegierem z partii komunistycznej”, a dalej c. innym, który według pisma jest po mozo duszą memoriału podaje, że w r. 1926 był socjalistą, potem komunistą... potem oskarżonym przez tajną partię komunistyczną o zdradę. Jego nazwisko, jako należącego do OVRA (tajna policja faszystowska) mieści się na liście wydrukowanej przez tut. „Dziennik Ustaw” w r. 1946.

Komuniści w przeważającej części są udziałowcami lotnego banku, ek-komuniści zblizni do jednego z resortów tworzą podbudówkę polityczną afery, komuniści wreszcie mają teraz żer do ataków na kler, na rząd, na Chadeję. Ale faktem jest, że zaczęli rozdmuchiwać skandal republikański i socjal-demokracji. Dlaczego? Republikanie to dziś dwa odłamy: jeden z Paciardin na czele, b. ministrem obrony, uważał za możliwe wejście do rządu tej jesieni, by wzmocnić moralnie postawę atlantycką polityki włoskiej. Drugi, z La Malfa chce pchnąć koalicję bardziej ku lewicy. A La Malfa ma wpływ w „Voce Repubblicana”. „Giustizia” i część Socjal Demokracji wzięły na siebie toge moralizatorów, jak widzimy niefortunnie.

Afera, oprócz normalnych dochodzeń, będzie też przedmiotem badań specjalnej komisji parlamentarnej.

PRZEGLĄD SPORTOWY

EUROPEJSKI KONGRES KOSZYKÓWKI W MADRYCIE

(Od własnego korespondenta)

Wschodnich, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii, Czechosłowacji, Węgier, Francji i Polski. Natomiast VII Mistrzostwa Europy Kobiet odbędą się prawdopodobnie w Libanie, chociaż Liban nie potwierdził jeszcze swej decyzji. Równoległe do mistrzostw ma się odbyć wielki, międzynarodowy kurs dla trenerów i sędziów koszykówki kobiet.

Najbliższa Olimpiada, która — jak wiadomo — odbędzie się w roku 1960-tym w Rzymie, stwarza organizatorom turnieju koszykówki sporo kłopotów. Według ustalonego planu na Olimpiadzie może być przyjętych tylko 16 drużyn, a zgłoszeń jest już ponad czterdzieści. Kongres madrycki postanowił więc zorganizować w Bolonii przedolimpijski turniej wstępny, który wyłoniłby 13 drużyn olimpijskich. Pozostałe trzy drużyny zostaną wyznaczone przez Międzynarodowy Związek Koszykówki.

Nie zapominajmy, że jeszcze przed Olimpiadą, a mianowicie od 16-go do 31-

go stycznia 1959-go roku odbędą się w Chile koszykowe mistrzostwa świata, na które nie wyznaczono jeszcze kandydatów europejskich, chociaż mówi się o Rosji Sowieckiej, która uzależniła swój udział od przyjęcia Chin komunistycznych, o Bułgarii i dwóch reprezentacjach, które wyznaczy Międzynarodowy Związek Koszykówki. Hiszpania została zaproszona do Chile jako gość honorowy mistrzostw. Losowanie rozgrywek odbędzie się przy końcu br. w Santiago de Chile.

Ustalono następnie, że najbliższe Kongresy odbędą się we wrześniu 1959 w Budapeszcie, i w roku 1960 w Atenach. Jak widzimy sport koszykówki rozwija się w świecie wspaniale, a Polska ma w nim bardzo dobrą pozycję. Na madryckim kongresie Polskę reprezentował prezes P. Z. Kosz. red. M. Kozłowski i sekretarz P. Z. Kosz. St. Kordzik.

Kazimierz Tytko

ZUŻŁOWE MISTRZOSTWA ŚWIATA BEZ POLAKÓW

(Od własnego korespondenta)

Mimo iż na finałach o indywidualne mistrzostwo żużlowe świata zabrakło Polaków, którzy w tym roku — wydawało się — mieli wyjątkowo wiele szans, by znaleźć się w finałach, zawody w Wembley — w dniu 20 września br. zromadziły 70 tysięcy widzów. Wiele emocji daly śmiecie popisy obecnego mistrza świata, Nowozelandczyka Barry Briggsa, który zwyciężył pięć razy pod rząd, co umożliwiło mu zatrzymanie tytułu mistrzowskiego na dalszy rok.

Mistrz szwedzki, Ove Fundin, zwycięzca z 1956 roku i ubiegłoroczny wicemistrz świata, był ponownie drugi a trzecie miejsce zajął 42-letni weteran Aub Lawson z Australii, znany doskonale publiczności w Polsce, Angli i w jego go własnej ojczyźnie.

Briggs wygrał pierwszy bieg, bijąc nadzieje Anglii, Peter Cravena, który prowadził w pierwszych dniach października. reprezentację Anglii udającą się na turniej do Szwecji i na 3 mecze do Polski (Warszawa, Rybnik, Wrocław), oraz Nowozelandczyka Ronnie Moore, dość przypadkowego konkurenta do zaszczytów tytułu, mimo iż wygrał trzeci bieg.

Fundin wygrał bieg 4 i 5 a Briggs wyrównał swoje szanse przez zwycięstwo odniesione w biegu 8. W połowie zawodów było wiadomo, że walka rozegra się między Fundinem a Briggssem i że Lawson będzie mruwanym kandydatem na trzecie miejsce. W niezmiernie ważnym biegu 12, w którym startowali niepokonani Briggs i Fundin, wygrał Nowozelandczyk zaledwie o kilka cali unosząc na mecie koło w powietrzu wśród nemiłkających braw publiczności.

Briggs wygrał również bieg 16 pozostawiając za sobą wszystkich zawodni-

ków, którzy mieli prawo startować w ostatnim biegu. W tym bowiem momencie kolejność była następująca: Briggs 12 p., Fundin 11, Olle Nygren (Szwecja) 9, Ken McKinlay (Szkocja) 9, Lawson 8 i Craven 8. Siemdemasty bieg wygrał Ronnie Moore, za co otrzymał dodatkowo 60 funtów, za ustanowienie oryginalnego rekordu: w ciągu 9 lat znalazł się po raz ósmy w finałach, zdobywając mistrzostwo świata w 1954 r. i zajmując dwukrotnie drugie miejsce w 1955 i 1956 r.

Ostatni bieg wieczoru wygrał znowu Briggs, zdobywając tym samym nagrodę pieniężną w wysokości 600 funtów, puchar oraz złoty medal i dyplom F. I. M. czyli międzynarodowej organizacji sportu motorowego.

Ostrą walkę stoczono o trzecie miejsce. Na pierwszym zakręcie McKinlay uderzył o krawężnik i wyleciał z toru, kilka sekund później podobna przygoda wydarzyła się Cravenowi, dzięki czemu trzeci zawodnik, Lawson, dojechał już bez przeszkód do mety zajmując trzecie miejsce.

Ostateczna punktacja:

Barry Briggs (N. Zelandia) 15; 2. Ove Fundin (Szwecja) 13; 3. Aub Lawson (Australia) 11; 4. Ken McKinlay (Szkocja) i Peter Craven (Anglia) 11; 5. Ronnie Moor (N. Zelandia) i Olle Nygren (Szwecja) 9; 6. Ron Johnston (N. Zelandia) 8; 7. Ron How (Anglia) i Gerald Hussey (Anglia) 7; 8. Peter Moore (Australia) i Mike Broadbanks (Anglia) 4; 9. Rune Sormander (Szwecja) 4; 10. Jack Geran (Australia) 3; 11. Josef Hofmeister (Niemcy) 2; i Joel Janson (Szwecja) 0.

Cyril J. Hart

Olimpiada rzymska. Już 53 biura turystyczne zapowiedziały przyjazd wycieczek na XVII Igrzyska Olimpijskie w Rzymie we wrześniu 1960 r. Dnia 21. 12. 59. kończy się termin przyjmowania zgłoszeń. — Znicz z Olimpu (Grecja) przeniesiony będzie najpierw do Aten tym samym szlakiem jak przed 25 wiekami, a stamtąd statkiem do Syrakuz na Sycylię, skąd biegacze przeniosą go systemem sztafetowym do Rzymu. Zawodnicy przebiegną 1.500 km. — Na specjalny kurs dla speakerów olimpijskich zgłosiło się 1.387 kandydatów z których wybrano 50. Speakerzy muszą nie tylko znać doskonale różne dyscypliny sportu, ale także władac biegle przynajmniej jednym obcym językiem. Większość kandydatów stanowi młodzież szkolna.

Wróżbiłki. Przed słynnym meczem lekkoatletycznym Niemcy zach. — Rosja Sow. ukazywały się w prasie sportowej w Polsce „przewidywania” na temat kto zwycięży. Nie łatwo się domyśleć, że stawiano z różnych względów na zawodników sowieckich. Fajnych zwycięstwo nie ulegało rzekomo najmniejszej wątpliwości. Jak wiado o zawodnicy sowieccy dostali w Niemczech we wrześniu solidne lanie. Przerzali smrotnie spotkanie wynikiem 105:15. Jeśli się tak dokładnie obserwovali ostatnie wyniki Rosjan — od mistrzostw Europy w Sztokholmie począwszy — należało tymbarziej być bardzo ostrożnym w stawianiu „horoskopów”. Rosjanie mogli wygrać, lecz zwycięstwo wcale nie było takie pewne.

Na łamach warszawskiego „Przeglądu Sportowego” pisał red. Z. Głuszek (czego się pewnie dziś bardzo wstydzimy) m. in.: „Natomiast w walce z długodystansowcami ZSRR, Niemcy nie mają już żadnych szans. Dublety ZSRR na 5.000 m i 10.000 m są więcej niż pewne.” Jak dziś już wiemy jeden i drugi bieg wygrał Niemiec Müller w doskonałym stylu i w sposób bezapelacyjny. A dalej pisze wznobita z „Przeglądu”: „...ostatnie wróżki powinny brzmieć 114:98. A

więc... różnica 16 punktów na korzyść ZSRR. Taka przewaga nawet w teorii wskazuje, że zwycięstwo ZSRR nie podlega dyskusji. Oczywiście o wyniku zdecydowały nie rozważania teoretyczne, lecz aktualna forma zawodników”.

I tak właśnie się stało. Aktualna forma bowiem zawodników sowieckich zdecydowała o przegranej. Rozumiem, że zdaniem red. Głuszka zawodnicy sowieccy nigdy nie mogą i nie powinni przegrywać. Te pobożne życzenia nie spełniły się, i zapewne jeszcze wielokrotnie się nie spełnią. Co więcej — myślę, że w równym stylu zdolni są pokonać ich Polacy. Gdyby tylko do tego spotkania mogło dobieść dnia dościsłego.

Ostatnie wyniki. Piłka nożna. Półn. Irlandia — Anglia 3:3. Irlandia — Polska 2:2. Francja — Austria 2:1 (0:1) w Wiedniu. Jugosławia — Węgry 4:4. Niemcy wschodnie — Bułgaria 1:1. — **Rekordzistka świata** Rumuna Balas ustanowiła nowy rekord świata w skoku w zryw wyniku 1.82 m., poprawiając poprzedni własny rekord o 2 cm. — Z wielkim zainteresowaniem oczekiwali kibice polscy wyniku między państwowego spotkania lekkoatletycznego Niemcy zach. — Węgry. Zwyciężyli po raz 5-ty Niemcy 112:100 p. Mecz był dla nas dlatego ważny, ponieważ za tydzień Niemcy spotykają się w Warszawie z Polakami, a że przed dwoma tygodniami pokonali ZSRR tymbarziej śledzono wyniki spotkania z Węgrami. Na 20 konkurencji Niemcy zajęli w 12-stu pierwsze miejsca. Sensacją była porażka znakomitego Müllera, (N.), który w spotkaniu z Rosjanami zajął pierwsze miejsce na 5.000 i 10.000. Tym razem w biegu na 5.000 dwa pierwsze miejsca zajęli Węgrzy. Zwyciężył Iharos 13:52,8 min. Na 10.000 m zwyciężył Kovacs (W.). — **Inne spotkania lekkoatletyczne:** Szwajcaria — Jugosławia 85:124 w Lugano. Francja — Włochy 91:110 w Londynie. — **Słynny biegacz** australijski, Elliot, odrzucił ostatecznie propozycję amerykańską przejścia na zawodowstwo, za co miał otrzymać 250.000 dolarów. (p. h.)

Od lata 1944 r. zaczął się odpływ szpiegów niemieckich z Paryża ku prowincji. Bleicher postarał się by go wysłano do Auxerre, jednego z punktów koncentracji Résistance. Wkrótce zjawiała się tam Zuzanna, niespokojna o ukochanego. Można sobie jako tako odtworzyć prymitywne reakcje tej kobiety o słabej inteligencji i zupełnym braku poczucia odpowiedzialności moralnej. Była to natura bierna, uzależniona w zupełności od kochanka i żyjąca w zasięgu jego promieniowania. Niemiec czy swój, wróg czy przyjaciel, to nie grało roli, dość że był to mężczyzna, który zaspakajał jej zasadnicze apetyty i brał na siebie wszelkie odpowiedzialności życiowe, w zamian za co ona obsługiwała go sumiennie na wszystkich planach, utorowała mu nocne i wyrównywała dni, aby płynął jak najgładziej. Pomagała jej do tego gospodarność, sprawność i praktyczna rachunkowość. Gotowała, prała i sprzątała, całowała i pieściła, wszystko o właściwych porach i w należytych proporcjach. On ją wynagradzał pieśczętami i opieką, wzbudzał w niej podziw swą męskością, trochę niedbałą, ale skora do odwdziadczenia się, a ponadto imponował posiadaną władzą i umiał szafować hojnymi darami, podniecającymi jej próżność.

Gdy zdarzało się jej podróżować po Francji w towarzystwie Bleichera, w latach bezspornego panowania Niemców, Zuzanna żyła jak w powieści odcinkowej. Wszędzie oczekiwały ją pierwszorzędne hotele i zapobiegliwa służba, wykwintne posiłki, delikatna bielizna i stroje, wszędzie lał się szampan, woniały perfumy, grała orkiestra przy cichym brzęku kielszków. A cóż dopiero w Hamburgu, gdzie byli raz na urlopie. Brakło tam tych wykwińców, bo ograniczenia wojenne srożej obowiązywały, natomiast Zuzanna mogła do woli upajać się hotelami oddawanymi eleganckiej „paryżance“ (choć była podmiejszczanką z prowincji), która ośniewała toaletami i gasiła urodą zdeptane i wystraszone hamburżanki. Bleicher puszył się, dumny z jej powodzenia, patrzył z dobronliwą wyrozumiałością, jak Zuzanna zgrywa się w roli światowej damy, jakby to nie ona myła niedawno szklanki za konturem małego baru w Caën.

Do jej ptasiego mózdzku nie docierały nie tylko skrupuły, ale nawet najogólniejsze refleksje na temat plugawej roli Francuzki, utrzymanki szpiega niemieckiego. Wierność Zuzanny była mieszanią zaufania do sprytu Bleichera i strachu przed nieokreślona kara, jaka mogła ją spotkać ze strony rodaków. To prawdopodobnie grało silniej, niż owa jedyna w życiu namiętna miłość, na którą powołuje się ona w ważniejszych chwilach. W jej przekonaniu Bleicher, który zawsze potrafił ją obronić, obroni i teraz, wbrew złośliwej odmianie kolei losów. Może wierzyła w niezmogłą potęgę Niemiec, która przetrwała w formie zasadniczej pomimo klęski. Może — i to prawdopodobnie — nie zastanawiała się nad tym. Bleicher był męski i silny, był opiekunczy i szczodry. Jeżeli on jej nie uchroni od złego, to już nikt i nic. Więc zamknąć oczy i wśliznąć się z powrotem w jego ramiona, choćby w pochłochu ucieczki.

W Auxerre prywatne mieszkanie było zbyt niebezpieczne. Musieli zakwaterować się w obrębie garnizonu niemieckiego, za drutami kolczastymi, pod osłoną kompanii piechoty. Marna to była osłona. Wehrmachtowcy z najstarszych roczników, niezdatni do służby frontowej i Rosjanie wlasowcy. Wszyscy byli słabo uzbrojeni, nie do użycia w akcji. Brakło benzyny, do transportów wojskowych używano węgla drzewnego, garnizon ledwie się trzymał. Wreszcie zaczęła się ostateczna rozsyпка.

W ostatniej chwili Bleicher spostrzegł się, że jego samochód skradziono. Nie — była to chwila przedostatnia, w ostatniej bowiem zdołał jeszcze dopaść i „zarekwirować“ — zaiste ostatkiem prestiżu zastraszając prawnego właściciela — Citroëna w doskonałym stanie. Zdobył także zapas benzyny.

Usiłował nakłonić Zuzannę do przeczekania w ukryciu największego nasilenia burzy, ale nie zgodziła się. Załadował ją więc na samochód wraz z pistoletem maszynowym i ile tam wlało na dno wozu granatów ręcznych, i wyruszyli w stronę Dijon. Skóra na nim cierpiała, wiedział bowiem, że co krok natkną się może na któregoś ze swych dawnych agentów. Paruset takich, którzy powrócili do „maquis“, staraliby się teraz schwycić sławnego „Monsieur Jean“ czy legendarnego „colonel Henri“, aby stworzyć sobie alibi wobec przyszłych sądów wolnej Francji. Wiedział, że jego obecność w tamtych stronach nie jest tajemnicą. Truchlał, choć był człowiekiem odważnym z natury i z wykształcenia. Dlatego też nie cofnął się, ufając w swą przytomność umysłu, która jedynie mogła go uratować.

Nie omylił się. Był dość przewidujący, aby za wezusa zaopatrzyć się w mocne angielskie papiery, najlepsze, jakie mógł zdobyć, bo autentyczne; należały do brytyjskiego jeńca, kapitana lotnictwa. Nie ujechali jeszcze zbyt daleko, gdy zdarzyło się to, co mogło zadecydować o ich zgonie. Na drodze zatrzymał ich i otoczył oddziałek — „zbrojna banda“, jak pisze Bleicher, wierny terminologii obowiązującej, która zaliczała partyzantów do bandytów, a ich formacje określała jako bandy — żądając wylegitymowania się. Gdyby wśród nich znajdował się choć jeden z byłych podkomendnych Bleichera, marny byłby los jego i Zuzanny. Na szczęście dla nich, otaczały ich same obce twarze. Bleicher

ZOFIA KOZARYNOWA

ŚWIETNA KARIERA SIERŻANTA OPOWIEŚĆ SZPIEGOWSKA

niedbałym ruchem sięgnął do kieszeni i jak najbardziej od niechcenia, jak najbardziej po angielsku pokazał swoje dokumenty. Burknął coś przy tym pod nosem w angielskim bełkocie. Przepuszczono go z przeprosinami, z honorami należnymi Brytyjczykowi i z ukłonami odpowiednimi do jego kapitańskiego stopnia. Zbiegowie odetchnęli.

Dalsza podróż od etapu do etapu odbywała się mniej więcej pomyślnie, wśród narastających fal odwrotu. Bleicher szkiełce w swej relacji różnorodnej sylwetki uchodzących wodzów: od takich, którzy potrafili zachować zimną krew i pozory godności, do takich, którzy do ostatniej chwili nie rozumieli sytuacji i arogancją zastępowali odwagę, aż ulegając popłochowi porzucali swój sztab i resztki wojska, by ratować się paniczną ucieczką. O postanowieniach i rozkazach władz wyższych wyraża się Bleicher z pogardliwą ironią. Łatwo zresztą krytykować, potępiać lub ośmieszać władze ratujące się ucieczką, opętane strachem i oszołomione rwaniem się łączności, skutkiem czego odpowiedzialność za natchmiastowe decyzje spadała całkowicie na każdego z dowódców, od lat wdrożonych do posłuchu w ramach dyscypliny uzależnionej od hierarchii i pozabiającej inicjatywę indywidualnej.

Na każdym etapie Bleicher usiłował wmówić w Zuzannę konieczność odczepienia się i przycupnięcia gdzieś na cichej wsi aż do spokojniejszej chwili. Ona jednak nie dawała sobie nie wyperswadować, trwając w nieugiętych uporze. Bleicher był tym w równej mierze wzruszony jak zakłopotany. Kotłali się więc na zdobywym Citroënie od miasteczka do miasteczka, ciesząc się wygraną za każdym razem, gdy udało im się bezkarnie wyruszyć w dalszą drogę.

Kapitulacja przed wojskami kanadyjskimi w Holandii położyła jednak kres ucieczce. Resztki wojsk niemieckich wstępowały do niewoli, zgodnie z rozkazami zwierzchności. Bleicher stanął okoniem. Odmówił zgłoszenia się do niewoli. Wzruszył ramionami wobec pięniącego się z wściekłości i strachu majora i oświadczył, że występuje z wojska. Nie nosił munduru, więc nie łączyło się to z żadną manifestacją zewnętrzną. Po prostu włożył ręce do kieszeni i odszedł, w stroju i w skórze cywila.

Zalegąc teraz wyłącznie od siebie, przemknął się do Amsterdamu. Był już sam, bo Zuzanna po jeszcze jednym pożegnaniu i powrocie na granicy Holandii, wreszcie odpadła od niego definitywnie. Przez krótki czas ukrywał się z pomocą starego przyjaciela, Niemca zamieszkałego stale w Amsterdamie, zupełnie tam zasiedziało i znajdującego na wylot stosunki. Był to dobroduszy handlowiec, gotów do połączenia swych losów z losem przyjaciela. Udało im się zdobyć mocne lewe papiery upoważniające do wyjazdu. Wyruszyli pełni otuchy, w drodze jednak przychwyli ich milicja holenderska, przez czyszą niedyskrecję czy doniesienie poinformowana co do ich osób i zamiarów. Powiedrowali zgodnie do więzienia: przyjaciel handlowiec błąd i trząsący się ze strachu, w jego bowiem bezpiecznym i uregulowanym życiu nie przytrafiła mu się, nawet we śnie, podobne przygody, a Bleicher zrezygnowany, przyjmujący tę odmianę losu z fatalizmem.

„Tyle razy w ciągu ubiegłych czterech lat nakładałem innym na ręce kajdanki, że gdy uczulem zatrzaśnięcie się na moich własnych przegubach tych średniowiecznych przyrzędów, wydało mi się to objawem jakiejś romantycznej sprawiedliwości“.

Doznał pewnego rodzaju ulgi. Niech się dzieje co chce. Miał pełną świadomość wszystkiego złego, które wyrządził państwom sojuszniczym w toku swej szpiegowskiej działalności, ale miał także przekonanie, że oboście nie dopuszczal się okrucieństw. Liczył na to, że jego własne niepowodzenie doświadczenie w kierowaniu przestępcami pomoże mu teraz, w odwróconej sytuacji, do przyjęcia odpowiedniej postawy.

W każdym razie postanowił trzymać się ściśle prawdy. Podszycanie się pod fałszywe nazwisko, kręcenie, wypieranie się czegokolwiek z bliższej i dalszej przeszłości, byłoby w danych warunkach dostarczaniem broni przeciwno sobie.

Cały miesiąc przesiedział Bleicher w więzieniu holenderskim, dobrze traktowany, słabo odżywiany — tak słabo, że był stale głodny, nie przymierzając jak lokatorowie niemieckich więzień, którzy jednak nie mogli się pochwalić dobrym traktowaniem. Podobnie jak w pierwszym roku wojny zaskoczyła go niechętna

(8) postawa mieszkańców wobec Niemców, tak teraz nie bez największego zdziwienia zdał sobie sprawę z głodowej sytuacji Holandii podczas wojny.

W lipcu 1945 r. przewieziono go do Londynu.

VIII. LONDYN — PAYŻ — FINAL

WSPOMINAJĄC komunikaty radia niemieckiego o nalożonych na Londyn, Bleicher spodziewał się ujrzyć miasto zrównane z ziemią. To uprzedzenie sprawiło, że wydało mu się jeszcze mniej zniszczone, niż było w istocie. Życie toczyło się normalnie, pomimo stosunkowo niewielkiej — w porównaniu z miastami na kontynencie — i nie rzucającej się w oczy ilości gruzów.

Zamknięto go w więzieniu położonym za Londynem i przeznaczonym, co podkreśla nie bez pychy, dla wybitnych więźniów: generałów Wehrmachtu, wysokich szarż SS, dyplomatów itp. Zaczęła się nowa seria zdziewień. Cela była czysta, dostatecznie umeblowana, zaopatrzona w komode, dzwonek na dozorcę, z podłogą wyłożoną linoleum. Odżywianie znakomite, dzięki starannej obsłudze kuchni przez południowych Amerykanów, jadłospis urozmaicony i potrawy świetnie przyrządzone. Na pierwsze śniadanie więźniowie dostawali owsiankę z mlekiem i cukrem, biały chleb, kiełbaski, marmoladę, a do picia herbatę, kawę lub czekoladę, do wyboru. Mięso-jarzynowy posiłek w południe, na podwieczorek herbata z odpowiednimi dodatkami, a siódmej obfity obiad. Codzienna kąpiel, gorącej wody w bród. Częste wizyty lekarskie, po których, w razie opóźnienia się przyrostu wagi, następowało zwiększenie racji żywności. Wiadomo ogólnie, że po zakończeniu wojen na korzyść W. Brytanii, lepiej być b. przeciwnikiem jej, niż b. sojusznikiem.

Przesłuchania, prócz pierwszego, odbywały się na siedząco. „Nigdy przedtem nie byłem w Anglii“ — pisze Bleicher — i nie przebywałem wiele z Anglikami. Byli nadzwyczaj poprawni, ale zupełnie bezosobowi i zachowujący dystans. Miało się wrażenie obcowania z bryłą lodu. Nawet po dwóch miesiącach codziennych rozmów nie doszło do osobistego zbliżenia się między mną a oficerem prowadzącym przesłuchanie“.

A cóż on sobie wyobrażał? Bruderschaft? Kolację z szampa-
nem, jak w następstwie jego „osobistych zbliżeń“ z niektórymi więźniarkami francuskimi? Inni wywiadowcy niemieccy uprawiali system „zbliżeń“, który pozostawiał niezatarte ślady na ciele więźniów.

Ale poczekajmy, dowiemy się wkrótce jak serdecznie, z jakim wylaniem Bleicher będzie przyjęty w Paryżu. Odpręż się jeszcze, odetchnie ożywcza atmosfera przyjaźni, pomimo niewygod współnej i źle przewietrzzonej celi.

Poinformowanie tajnego wywiadu brytyjskiego zaimponowało mu.

„Przekonałem się, że wiedzą wszystko, dosłownie wszystko, o mojej działalności w Abwehrze. Nie pozostawało mi nic innego, jak wciąż potwierdzać przytaczane fakty. Co za szczęście, że nie próbowałem wypierać się ani kłamać! Kiedy porównywałem ich robotę z naszymi niemieckimi, powierzchownymi wywiadami, ogarniała mnie zazdrość zawodowa“.

Po dziesięciu tygodniach żyłowania nie było już nic do wydobycia z Bleichera. Pozostawiono go w spokoju i przyznano mu pewne przywileje papierosowo-przechadzkowe. Zabijała go nuda, więc zgłosił się o przydział do sprzątanja. Zaprzyjaźnił się z innym funkcyjnym, niemieckim attaché wojskowym w stopniu generała, który zaimponował mu zręcznością w praniu bielizny.

Zetknął się z Schellenbergiem — swoim najwyższym zwierzchnikiem, odkąd został on szefem kontrwywiadu na miejsce admirała Canarisa — który, ku jego zdziwieniu, zapewnił, że nic nie wiedział o zbrodniach reżymu hitlerowskiego. Z daleka widywał Kaltenbrunnera, trzymanego w ośodosobieniu, jako zbrodniarza wojenny (choć pewnie i on nic nie wiedział?).

Mijały miesiące, żyło się wygodnie, zżywając godziwych rozrywek, przesiadując godzinami w ogrodzie.

„Byłby to obóz wakacyjny raczej niż więzienie, gdyby nie dyscyplina i zamknięcie“.

Blęgi spokój został raz zmacony niemiłym incydentem. Niektórzy z oficerów tak się rozjeździ, że starannie przyrządzone południowo-amerykańskie potrawy poczęły im się przykrzeć. Kilkakrotnie wyrzucali nieknięte porcje do kubłów z odpadkami, wreszcie wnieśli zażalenie do komendanta więzienia, oskarżając obsługę kuchni o nadużycia i niedbalstwo, co było krzyżącą niesprawiedliwością i słusznym oburzyć Bleichera, pomnego na głód, panujący w tym czasie Niemcech. Komendant zagroził zaprowadzeniem racji żołnierskich, tj. takich, jakie przysługiwały Brytyjczykom w wojsku, nie zaś Niemcom w więzieniu. Jednakże taktowne wstawiennictwo Bleichera i generała-attaché-pracza załagodziło sprawę i oddaliło niepokojącą ostateczność. Ale, jak pisze Bleicher, „prestiż niemiecki mocno na tym ucierpiał“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MATERIAŁY. LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES
S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.
Tel. KNI 0747

MIĘDZYNARODOWE BIURO PODRÓŻY

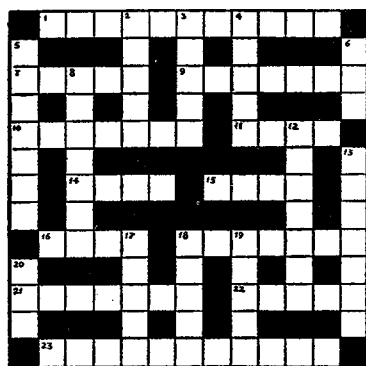
STANMORE
TRAVEL Ltd.

121, Earls Court Rd., London, SW.5.

(Minuta drogi od stacji Earls Court). Telefony: FRE 1155/6.

BILETY LOTNICZE, OKRĘTOWE I KOLEJOWE PO CENACH OFICJALNYCH.

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA Nr 293/58



Znaczenie wyrazów.

Popiome: 1) należy do trzeciego stanu; 7) w żaden sposób; 9) niebezpieczny dla kobiet; 10) dawny pieniądz; 11) serce kozaczyzny; 14) i 15) rebeliant na Ukrainie; 16) znak, ale nieprzyjemny; 18) rośnię na moczach; 21) część Kanady; 22) broń Mojżesza; 23) złowrobnny.

Pionowe: 2) pierwszy rysunek; 3) naczynie; 4) materiał; 5) permutacja liter; 6) i 20) licza i zwierzę, razem nieprzyjemne dla ucha; 8) maż świętej Anny; 12) bywa pijaka; 13) klika; 17) nalóg; 18) miejscowość w Karpatach; 19) kamień pólzłacznety.

Termin rozwiązania Krzyżówki Konkursowej Nr 292/58 upływa z dniem 22 listopada 1958. Za poprawne rozwiązanie przynana będzie jedna nagroda pieniężna w wysokości £2 oraz 9 książek.

ROZWIĄZANIE

KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ Nr 286/58

Popiome: 2) Vademecum, 7) droga, 8) Monet, 9) rozsada, 12) i 14) piroga, 15) osada, 16) i 17) Sachalin, 20) Annasz, 22) korale, 23) Kabul, 24) wojewodziańska.

Pionowe: 1) Sadyk Pasza, 3) augur, 4) Miłostaw, 5) ugoda, 6) literalnie, 10) oko, 11) dwa, 13) Racine, 14) Orlean, 18) Psków, 19) wolni, 21) za, 22) ku.

NAGRODY ZA POPRAWNE ROZWIĄZANIE
KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ Nr 286/58
W DRODZE LOSOWANIA OTRZYMUJĄ:

1. £2 — K. Kikiewicz, 2. Russell Rd., London W. 14. — 2. (Sto Dni Mussoliniego) — Z. Szczepański, 15. Rosary Gdns. SW. 7. — 3. (W stancy) — M. Kowalewski, „Götre Uchaf“ Farm, Lampeter, Wales. — 4. (Obóz Wszystkich Świętych) — H. Kruczała, 22, Warwick Rd., SW. 5. — 5. (Duch Niepokojny) — W. Przybyłski, Polish Home, Penrhos, Pwllheli, Wales. — 6. (Losy Pasierbów) — Z. Bernas, 28, Martin Ave, Fitzroy, S. Australia. — 7. (Słowo o Bitwie) — A. Moszyński, Penrhos Home, Pwllheli, N. Wales. — 8. (Nowele, London) — J. Bogumiła, Amberg, Opf. Breslaustr. 54, Germany. — 9. (Torricola) — M. Dunin Majewski, 147, Tufnell Park Rd. N. 7. — 10. (Tchórz) — J. Czwardoń, 51, Elliot Str., Dunfermline, Fife.

P O K R Z Y W Y
SATYRA I HUMOR

Bogato ilustrowane
Cena egz. 1/3 lub 20 centów
Odra Press — 169, Battersea Ch. Rd.
Londyn, S. W. 11.

DUKE

SPORTSWEAR SWETERKI
nieb., różowe, złote, białe, czarne

DUKI golfowe z ręk.

osiągają w Polsce do 260 zł. za szt.
6 szt. — cto 30 zł. ... £ 2.10.0
24 sztuki ... £ 8.15.0

Kardigany Puritex z ręk.

osiąg. do 400 zł. za sztukę
4 szt. — cto 100 zł. ... £ 2.10.0

HASKOBA

121, Earls Court Rd., London, S. W. 5.
Telefon: FRE 7888.

